Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 20. Czerwca 1880 r. Tom X.

# TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 25.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
**W KSIĘGARNI POLSKIEJ**
*L. 14 plac Halicki.*

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

## ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

*(Ciąg dalszy.)*

W ciągu tych długich lat pracy cichej, skromnej i niewidocznej, ocierając się i o sprawy różne i o ludzi naówczas najoświeceńszych a najczynniejszych, Zadorski się wykształcił wielce. Gdy ks. Kołłątaj urósł z czasem, a on się dostał do niego, przy jego boku wytrwał, przewidując może, iż wpływ jego w danej godzinie będzie wielki. Ta godzina właśnie z sejmem czteroletnim nadeszła, w czasie jego stał Kołłątaj na najwyższym zenicie swej działalności, na swem miejscu, gdy później już powtórna rola w 1794, mnóstwem omyłek popełnionych, upadek znamionowała.

W przeciągu lat tych, wierny pannie Łowczance, pisywał do niej Zadorski, a nie mógł się domyślać tego nikt, że stary Koniuszy mu za pośrednika służył.

Szczęśliwie mu się też kilka razy powiodło, potajemnie odwiedzając rodziców, dojechać tak do Wólki i widzieć się z panną Barbarą, iż nikt w domu ani się tego mógł domyślać.

Obierał sobie naówczas Jacek kwaterę w małej, lichej karczemce leśnej, zkąd wieczorami i rankami się wykradał, aby z Basią spotkać u krzyża za groblą, za sadem albo w oddalonym kątku ogrodu. Wiedziała Łowczanka o wszystkich jego obrotach, staraniach, nadziejach, dawała rady i cierpliwie znosiła to oczekiwanie, bo pośpiech był niemożliwym.

Zaraz po wyjściu z kancelarji od Kołłątaja, co dopiero nad ranem, skończywszy przepisywanie, mógł Jacek zrobić, pobiegł do swej izdebki, i nie kładnąc się na spoczynek, list do Łowczanki przygotował, przez jutrzejszą pocztę.

Padł potem znużony z nadzieją dni lepszych...

Przeszło jednak dosyć czasu, nim Ks. Podkanclerzy mógł słowa dotrzymać, i w rejestrze mieszczan nobilitowanych dopisać swego protegowanego. Na biedę do jednego z tych co na liście do szlachectwa stali, miał ktoś ząb w izbie i czyhał na wniosek. Odezwano się przeciw szlachceniu w ogóle i o mało cała gromadka nie odeszła z niczem. Tylko przytomności kilku posłów, którym ks. podkanclerzy sprawę tę polecił, udało się przepchnąć tę niemal ostatnią hurtowną nobilitację.

Jacek był na galerji w izbie gdy się sprawa jego ważyła, między życiem a śmiercią niemal, gdy głosy się burzliwe i szyderskie podniosły. Wybiegł zrozpaczony nie doczekawszy się końca i błądził po mieście ręce łamiąc, gdy przez okno go zobaczył ks. Jezierski, który już w tej chwili o przejściu szlachectwa się dowiedział.

Na skinienie jego wpadł Zadorski do izby, a posłyszawszy szczęśliwą nowinę, zachwiał się na nogach i upadł jak długi. Zemdlał z radości wielkiej.

Ks. Jezierski, który nigdy takiego skutku wielkiego szczęścia nie widział, nazwał go potem babą i wyłajał za ten zbytek sentymentu.

Posłowie się rozjeżdżali, bo sejm był limitowany, i to dozwoliło p. Jackowi już w swój dyplom opatrzonym, ruszyć naprzód do rodziców.

Staruszkowie mieszkali w mało co lepszej chałupie na przedmieściu nad tą, którą niegdyś mieli w lesie. Stara Maryś, która tam tyle biedy doznała, tyle łez wylała, teraz gdy się do miasta wynieśli, tęskniła za leśną chatą. Zdawało jej się, że tam wszystko było lepiej, warzywa rodziły się smaczniejsze, powietrze było zdrowsze, woda czyściejsza...

— Ej nie to to, co w lesie!

A choć las i tu za stawem był bardzo blisko, choć jej do niego nikt iść nie bronił, powiadała siedząc u pieca:

— Nie ten to las co tam! Cò za porównanie!

Antoszek stary, tu mając spoczynek i swobodę mało z nich korzystał. Nawykły do krzątania się ciągłego, sam usługiwał sobie, rzadko usiedział na miejscu i milczący dłubał coś ciągle, choć nie potzeba było. W najgorszym razie do artystycznej doskonałości doprowadzał łuczywo, którego trzaseczki na pół przezroczyste zdawały się raczej do zabawy, niż na podpałkę przeznaczone.

Oboje wreście zostawując chałupę pod dozorem dziewczyny, która im posługiwała, często do blizkiego kościoła kk. reformatów chodzili się modlić. Sama niby z mieszczańska, niby ze szlachecka ubrana wciskała się choć do ostatniej ławki, on, w kurpiach i kożuszku, z kijkiem w ręku, z czapką pod pachą stawał pokornie tuż u kruchty i łatwo go wziąć było można za kościelnego dziadka.

Tu to jednego dnia, gdy oboje modlili się w czasie nieszporów, przed niedzielą, o mroku już Antoszek zobaczył wchodzącego syna, który tylko co przybywszy do miasteczka a kościół znajdując otwarty, wstąpił panu Bogu dziękować, że go ze złej dźwignął toni.

Stary, choć Jacka zaraz poznał i serce mu uderzyło, do niego nie śmiał się zbliżyć aby mu wstydu nie zrobić, a że mrok był a on szedł prosto ku wielkiemu ołtarzowi, z początku rodziców nie dojrzał. Matce serce zabiło, ale pewności nie miała czy to był on czy nie. Spojrzeli tylko na siebie z mężem i w milczeniu zaczęli po-

kazywać na Jacka. Antoszek zaręczał, że to on był, Maryś stara wątpiła.

W istocie spojrzawszy na tych dwoje pokornych staruszków trudno się w nich było domyśleć rodziców pokaźnego, pięknej postawy mężczyzny, ubranego bardzo dostatnio i przy szabli, którą miał zawieszoną na haczykach, aby się nie wlokła, idącego ku ołtarzowi.

Widzieli jak tu kląkł, ręce szeroko rozłożył, głowę podniósł ku niebu, westchnął, modlić się zaczął pół głosem i bić w piersi. Chwilę długą pozostał tak zamodlony i zadumany, potem pochylił się, ziemię pocałował, w piersi uderzył znowu, wstał zwolna, do skarbonki na prawo poszedł wrzucić kilka groszy i zawrócił ku wyjściu.

Rodzice ścigali go oczami, Maryś go teraz na pewno poznała, ale nie śmiała przystąpić, siedziała jak wryta. Odziana była tak ubogo, a on wyglądał tak pańsko.

Jacek wyszedł tym czasem z zadumy swej, oczami potoczył do koła i zobaczywszy matkę stanął, a potem wnet przyspieszonym krokiem postąpił ku niej i przypadł do kolan jej, a Maryś, w płacz! Antoszek podbiegł i jeszcze kożuszyny wstydził, czy mu wypadało przystąpić czy nie do tego jasnego syna?

Ale Jacek matki kolana uścisnąwszy, zawrócił się tak samo do ojca, który o mało też nie ukląkł przed nim; a rozpłakał się głośno.

Nikogo już w kościele świadkiem tej rozczulającej sceny nie było, oprócz jednego dziadka, który świece pogasiwszy z kijem w ręku stał, patrzał i wytłumaczyć sobie tego nie umiał.

Wyszli tak wszystko troje razem z kościoła, i powolnym krokiem poczęli wracać ku chacie.

O szczęściu dziecka nie wiedzieli jeszcze starzy. Dopiero teraz im Jacek oznajmił, dobywając w chustkę zawinięte pudełko, które pargamin zawierało, że oto narzeczonej swej szlachectwo wiózł...

Poczciwi staruszkowie nie mogli swej ciekawości pohamować, żeby też zobaczyć jak ono wyglądało, ale z tem czekać musieli do chaty... Tym czasem sypały się pytania, jak, przez kogo udało się to zdobyć, i co dalej?

Jacek mówił im, że prosto ztąd do Łowczego do Wólki jedzie, aby raz skończyć i narzeczoną poślubić.

— Jak o dzień weselny umówimy się — rzekł matkę całując w rękę — no, to róbcie sobie co chcecie, a na weselu mojem musicie być!

Antoszek aż oczy zakrył.

— O! Jezu! Marja!

Matka się namarszczyła.

— Co tobie w głowie? — rzekła — aby tam sobie z nas biedniaków kpili i urągali? Co z tego to nic nie będzie!

— Matuś kochana, mało wiele, a ja was tam pokazać muszę — odparł Jacek — dosyć się ja nacierpiałem kłamać i taić się będąc zmuszony. Nauczyłem się tego teraz, że nie godzi się swojego stanu, jakibykolwiek był, wstydać, ani się godzi rodziców zapierać. Szlachcicem jestem z łaski Stanów Rzptej i królewskiej, ale z czegom wyszedł tego ja taić nie myślę, nie chcę.

— O! Jezu! Marja! — powtórzył przestraszony Antoszek...

— Nam się to na nic nie zdało — przerwała matka — a pchać się między butną szlachtę, żeby na nas tam kuso patrzali, człek by się tylko wstydu napił. Porzuć ty to. Dosyć będzie, gdy żonę nam kiedy przywieziesz i pokażesz, abyśmy jej za dobre serce dla ciebie podziękowali.

Jacek nic nie odpowiedział, ale nie widać było ażeby od swej myśli odstępował, pokręcił wąsa i westchnął.

A że stary Antoszek dopominał się aby szlachectwo zobaczyć, rozwinięto chustę, otworzył Jacek pudełko safianowe i ukazał w niem pargaminową kartę, z pięknie malowanym herbem Zadorą... Na sznurze grubym jedwabnym, wisiała przy niej w osobnem puzderku blaszanem pieczęć wielka, którą Antoszek pobożnie ucałował.

Po czem znowu najstaranniej ułożono i zapakowano owo szlachectwo, Jacek je w chustę zawinął i schował.

Śmiał się stary leśnik, głowę siwą gładząc i syna ściskając, matka dumnie chodziła po chacie w boki się wziąwszy, myśląc może w duchu, że to ona wszystkiego tego dokazała, pierwszą myśl poddawszy wyszlachcenia syna.

Następny dzień cały poświęcił rodzicom Zadorski, a że gorąco było, siedzieli na przyźbie przed chatą i słuchali go opowiadającego swoje dzieje.

— A teraz — zakończył Jacek — jutro trzeba w drogę, naprzód do Kodnia staremu Koniuszemu się pokłonić, potem do Wólki, aby raz oczekiwanie się długoletnie skończyło.

I z błogosławieństwem rodziców odjechał. (C. d. n.)

---

# BEAUMARCHAIS W NIEMCZECH

## (1774)

przez

PAWŁA STAPFER.

*(Ciąg dalszy)*

List ten, który każdy może przeczytać w dziełach Beaumarchaisgo, datowany jest z 15. sierpnia 1774 roku, na łódce na Dunaju koło Ratyzbony. Widziałem oryginał w archiwach Komedji Francuskiej. Pisany jest ręką pewną, pięknym charakterem; a liczne przekreślenia świadczą jak Beaumarchais starał się o wytrawny styl.

Nim usłyszymy zeznanie pocztyliona o wypadku w Leichtenholz, zobaczmy jak dalej opowiada nam Beaumarchais. Nie wszystko bowiem napisał swoim znajomym we Francji. Z różnych sprawozdań, jakie podawał w Niemczech i Austrji wynika, że podróżując w pocztowej karecie, spostrzegł przy wejściu do lasku Neustadt żyda Angelucci, jadącego na małym koniku. Usłyszawszy turkot powozu, jeździec obraca się, a poznawszy człowieka, którego tak haniebnie oszukał, ucieka w bok do lasu. Figaro wyskakuje z karety, biegnie za nim z pistoletem w ręku; dogania wkrótce złodzieja, któremu drzewa nie pozwoliły prędko uciekać; chwyta go za nogę, zrzuca z konia, przewraca wszystko w kuferku i odkrywa ów egzemplarz podstępnie ukryty przed zniszczeniem pamfletu. Znalazły się tam i pieniądze, jakie żyd dostał przy układzie. Będąc panem wszystkiego, Beaumarchais darowuje wspaniałomyślnie życie swemu nieprzyjacielowi, zgadza się nawet na jego prośby i zostawia mu kilka biletów bankowych, oddala się i wraca do powozu. Lecz zanim wyszedł z lasu, zostaje napadnięty przez owego jeźdźca, który siadł był na konia i przez jakiegoś drugiego złoczyńcę. Wypadki jakie zaszły przy tej walce dosyć się zgadzają z tylko co powyżej opisanymi, z tą głównie różnicą, że Beaumarchais opowiadając osobom obecnym, mniejszy nacisk kładzie na okropność ran swoich, niżeli gdy pisze o tem do przyjaciół oddalonych o sześćset mil. Podziwiać tu należy drobiazgową dokładność, z jaką opisuje obydwóch morderców, z którymi walczył o życie:

„Jeden uzbrojony nożem w futerale, ma blizko pięć stóp i dwa cale wysokości, szczupły w sobie, twarz ściągła i chuda, nos haczykowaty, oczy duże, czarne i złowrogie, cera mocno żółta. Włosy czarne nosi pod okrągłą blond peruką. Ma na sobie niebieski surdut angielskim krojem, z miedzianemi guzikami, czerwoną kamizelkę, spodnie skórzane i takież trzewiki; wogóle z miny i ruchów podobny do żyda. Towarzysz jego, wołając, nazywał go Angelucci Koń jego skarogniady ma biały znak wzdłuż głowy. Drugi zbójca słusznego wzrostu, w szarej kamizelce; na ręku niósł niebieskie ubranie i wielki kapelusz bez skrzydeł. Cerę ma dosyć białą, włosy jasne jak len, twarz pełna.

„Pan de Ronac," to jest Beaumarchais, złożył pierwsze zeznanie dnia 15. sierpnia przed starszym urzędnikiem przy zarządzie pocztowym w Norymberdze w oberży pod czerwonym kogutem; gdzie jak wiemy z ustnego protokułu zajechał Beaumarchais w wilię dnia tego wieczorem, poraniony na rękach, tak cały pokrwawiony i w takiem rozgorączkowanem usposobieniu, że oberżysta wziął go z początku za warjata.

Zrobiwszy tutaj zeznanie, wyjeżdża natychmiast, i dokąd się udaje? Do Wiednia, aby „zanieść skargę do dworu." Bierze łódkę na Dunaju bo z „powodu ran," jak pisze do przyjaciół, nie byłby wstanie znieść „wstrząśnień karety pocztowej." Lecz co za szybkość ruchów w człowieku, którego miano co tylko zamordować. Nie zatrzymywał się wcale w Neustadt, małem miasteczku w pobliżu miejsca zbrodni, gdzie chirurg mejiscowy mógłby mu przyjść z pomocą, i gdzieby mógł zanieść skargę z pewniejszym daleko skutkiem, aniżeli w Norymberdze lub na dworze austrjackim. W Norymberdze znów odmawia wszelkiej pomocy z jaką mu się ofiarują medycy; gospodarz z pod czerwonego koguta widząc go pokrwawionego chce zawołać doktora: Figaro opiera się temu, wystarcza mu plasterek angielski, jaki przylepia na brodzie, robi tylko zeznanie i jak najprędzej jedzie dalej. Tego samego dnia widzimy go na Dunaju. Niezadułgo znajdziemy go w pałacu Marji Teresy. Podczas gdy on jadąc Dunajem pisze listy do znajomych we Francji, my posłuchajmy co opowiada pocztylion.

Ten poczciwiec nie czekał aby go zaczęto

badać. Jeszcze tego samego wieczora, na kilka godzin przedtem nim Beaumarchais złożył zeznanie w Norymberdze, pocztylion sam dobrowolnie w Neustadt zdał sprawę z tego wypadku. Sam on nie wrócił do Norymbergi; droga jego jest tylko od Langenfeld do Emskirchen; i na tej ostatniej stacji rozłączył się „z panem de Ronac.“ Wracając do Langenfeld rozmyślał o tem, co mu się dzisiaj przydarzyło. Nigdy jeszcze nie woził takich dziwaków jak dzisiejszy podróżny, którego brał za Anglika.

Poczciwy chłopak był świadkiem rzeczy nadzwyczajnych i podejrzanych; zapytuje się więc teraz siebie, co to ma znaczyć, obawia się aby co złego z tego nie wynikło. I własny jego interes odgrywa tu pewną rolę, bo dobra sława drogi, na której pełni rokrocznie służbę pocztyliona, narażona jest na niebezpieczeństwo. Słowem przejeżdżając przez Neustadt udał się do władz miejskich, i tam spisano akt następującej treści. Pan de Loménie nie znał widać wcale tego najważniejszego dokumentu albo przynajmniej poznał go za późno.

„Zeznanie zrobione w Neustadt, dnia 14go sierpnia 1774 roku, o godzinie szóstej wieczór.“

„Przed urzędnikiem sądowym stawił się pocztylion, nazwiskiem Dratz, ze stacji Langenfeld, który wnet po powrocie z Emskirchen, zeznaje:

„Dzisiaj po południu wiozłem do Emskirchen jakiegoś podróżnego, którego nazwiska nie znam, a który przejeżdżał tędy około czwartej; jest to Anglik, nieumiejący ani słowa po niemiecku, który podróżuje własnym powozem o dwóch kołach, ze służącym Niemcem; nie wiem nawet, czy był przy zdrowych zmysłach, ani co mu było, ale zmuszony jestem zdać sprawę z tego, co mi się dzisiaj z tym podróżnym wydarzyło.

„Z tamtej strony Diebach, oglądnąwszy się, zauważyłem, że ów podróżny wyjmuje z kufra coś w kształcie szkatułki toaletowej i wyciągnął ztamtąd lusterko i brzytwę; doskonale mogłem widzieć to wszystko, bo umyślnie zwolniłem jazdę, dopóki podróżny napowrót się nie usadowił. Zdziwiło mnie to bardzo, że się chciał golić podczas jazdy.

„W lesie tak zwanym Lichtenholz, podróżny kazał stanąć, zeszedł z powozu i z trzciną hiszpańską w ręku, puścił się w głąb lasu, a przez służącego kazał mi powiedzieć, abyśmy jechali dalej.

„Chciałem zatrzymać się zaraz, ale służący prosił mię, żeby jechać, posuwaliśmy się więc powoli i dojechaliśmy na brzeg lasu Leichtenholz, podróżny nie powracał, czekaliśmy blizko pół godziny. Tymczasem przeszło koło powozu trzech cieśli z siekierami w rękach i z tłomoczkami na plecach; wkrótce potem przyszedł nasz podróżny z ręką owiniętą w chustkę od nosa i opowiadał służącemu, a ten powtórzył mi po niemiecku, że widział rozbójników; ale nie widać było, aby mu co złego zrobiono, bo ani na rękach, ani na ubraniu nie widać było śladów krwi, dlatego zwróciłem uwagę, że podróżny wziął pewnie tych trzech cieśli za złodzieji. Ale on na to nic nie odpowiedział, siadł do powozu i kazał jechać.

„Przejeżdżając przez miasto, niedaleko za szpitalem, podróżny spuścił okno, i wtedy spostrzegłem, że chustka, w którą owinięta była ręka, była trochę pokrwawiona, że ślady krwi znać było na lewej stronie szyi i na krawacie; gdy go zapytałem co to ma znaczyć, odpowiedział mi, że strzelano do niego. Chciałem nawrócić do sądu, aby tam złożyć zeznanie, ale podróżny nie pozwolił, i jechaliśmy do Emskirchen Tam opowiedział znowu pocztmajstrowi, że napadli go złodzieje, ale nie chciał pokazywać ran, ani też robić zeznania, tylko jechał jak najśpieszniej do Norymbergi.

„Ponieważ nic nie spostrzegłem takiego, coby wskazywało obecność złoczyńców i wcale nie słyszałem wystrzału, zdawało mi się więc, że to podróżny sam sobie porobił rany brzytwą, którą wziął z sobą i że widocznie chciał narobić hałasu w Norymberdze i okrzyczeć drogę tę jako niepewną dla podróżnych, ponieważ przejezdni w biały dzień bywają na niej napadani. I dlatego też myślałem sobie: powinienem uwiadomić o wszystkiem władze w Neustadt.“

Beaumarchais jednakże pojechał do Wiednia. Ledwie tam przybył, prosił zaraz u cesarzowej o poufne posłuchanie.

„Pani!

Z krańców zachodniej Europy jechałem dniem i nocą, ażeby uwiadomić W. C. M. o rzeczach, które dotyczą Jej szczęścia i spokoju. W. C. M. przyzna sama, jak śpiesznie należy mnie wysłuchać, gdy dowie się, że chociaż byłem napadnięty przez morderców niedaleko Norymbergi, niebezpiecznie zraniony i straszliwie cierpiący, nie zatrzymałem się ani na chwilę, i wtedy dopiero puściłem się Dunajem do Wiednia, gdyż w skutek odebranych ran, nie mogłem znosić trzęsienia pocztowego powozu. Jeżeli W. C. M. uważać będzie krok ten jako szaleństwo człowieka zranionego, którego trawi gorączka, błagam tylko, aby raczyła przysłać kogoś zaszczyconego Jej największem zaufaniem. Nie odkryję mu całej tajemnicy, bo to mógłbym tylko uczynić przed W. C. M, ale dam mu takie objaśnienia, które wystarczą, abym otrzymał tajemne posłuchanie, o którem żaden z ministrów ani ambasadorów nie powinien wiedzieć.“

List podpisany był „de Ronac, Wiedeń, dnia 20. sierpnia 1774 roku.“ Adres był następujący: „List do Jej C. M. z wyłączeniem każdej innej osoby, przytem zanosi się najuniżeńszą prośbę, aby Jej C. M. sama go raczyła przeczytać.“ List ten był w istocie oddany do rąk własnych Marji Teresy za pośrednictwem jej sekretarza, barona de Neny.

Cesarzowa oddała list „pana de Ronac“ hrabiemu de Seilern, prezydentowi regencji, prosząc go, aby się dowiedział, o co tu chodziło. Hrabia kazał przywołać do siebie cudzoziemca, który stawił się na wezwanie, ale kazał poczekać na siebie trochę, gdyż, jak powiadał, pluł przez całą noc krwią, co mu się przytrafiło od czasu ostatniego spotkania się z rozbójnikami. Opowiedział pokrótce hrabiemu de Seilern przygody swoje w Leichtenholz, jak wytrzymywał napad dwóch zbrodniarzy, jak nóż, którego uderzenie miało go niechybnie zabić, osunął się cudem po złotym medalionie, jaki nosił na piersiach. Pokazuje na przekonanie ów medalion, ślady uderzenia na nim; następnie otwiera go i wyjmuje autograf króla, przyznaje się, że właściwe jego nazwisko jest de Beaumarchais i oznajmia pod sekretem hrabiemu, że reszty tylko sama cesarzowa wysłuchać powinna.

Hrabia de Seilern, pojechał zdać z tego sprawę do Schoenbrun, przedłożył cesarzowej autograf, który mu oddał Beaumarchais, a Marja Teresa poznając pismo swego królewskiego zięcia, nie robiła więcej trudności i udzieliła posłuchania; lecz nie zgadzała się aby ono było sekretne, przeciwnie żądała obecności hrabiego de Seilern. Wtedy wobec hrabiego, Beaumarchais opowiedział z najdrobniejszymi szczegółami całą historję, którą znamy o swoim pamflecie, tajemnem posłannictwie, zdradzie Angelucciego i jego ucieczce; jak go ścigał, jak zatrzymał go niedaleko Neustadt, i w końcu o napadzie zbójców. Za każdą przerwą cesarzowa nie mogła wyjść z podziwienia, i powtarzała ciągle to pytanie naturalnie na myśl się nasuwające:

„Ale dlaczegoż pan tak gorliwie zajmował się sprawą mego zięcia, a szczególniej mojej córki?“ Ciekawa była treść pamfletu. Czytanie jego, z objaśnieniami, zajęło przeszło godzinę. W końcu Marja Teresa pożegnała swego entuzjastycznego gościa prawie w ten sam sposób, w jaki w Cyruliku żegnają Bazylego, wyrzucając go za drzwi. „Połóż się pan do łóżka — powiedziała — i każ natychmiast krew puścić.“ Ale kazała sobie zostawić pamflet na dni kilka.

Książę Kaunitz był w tym czasie kanclerzem cesarstwa. Z rozkazu cesarzowej oddano mu pamflet wraz z notatką hrabiego de Seilern, gdzie przytoczona jest rozmowa Beaumarchaisgo z cesarzową, przy której hrabia był obecny. Za pierwszym rzutem oka na ten dokument książę zauważył wiele rzeczy podejrzanych Najprzód tajny agent Ludwika XVI był bardzo niezręczny w wypełnianiu swej missji. Kazano kupić mu od autora pamfletu wydawnictwo tej książki: jedyna umowa jaką można było skutecznie przeprowadzić z osobą tego rodzaju, była pensja dożywotnia, którą można było cofnąć w razie zdrady, której należało się lękać. Ale zamiast tego cóż robi negocjator? Płaci on żydowi gotówką okrągłą sumę 1400 funt. szterl to znaczy tyle co wyrzucić pieniądze przez okno. Nazajutrz wszystko zaczyna się na nowo, żyd ma się rozumieć, ukrywa jeden egzemplarz, ucieka; Beaumarchais dogania go i po raz drugi puszcza Angelucciego nie żądając od niego żadnej gwarancji. Co się tyczy historji złoczyńców, pominiemy ją; zażądamy w tym celu objaśnień z Norymbergi i z Neustadt. Niezręczny agent króla francuskiego jest przytem nierzetelny. Pocóż przyjechał do Wiednia? W jakim celu przekraczając swoje polecenia, doniósł on niedyskretnie matce Marji Antoniny, o grubiańskiem piśmie spotwarzającem gwałtownie jej córkę? Zastanawiając się nad pamfletem, książę Kauniz znalazł jeszcze więcej powodów, które utwierdzały go w podejrzeniu. Autor wspomina tam o szczepieniu ospy u Ludwika XVI jako o fakcie spełnionym, o operacji, która wywołała należyty skutek; król szczepiony 18. czerwca, a dnia 27. czerwca, Marja Antonina pisała do matki: Przedwczoraj wieczór, wysypka się zdeklarowała, pokazały się krosty, król szczególniej na nosie ma bardzo dużo.“ Beaumarchais już 18. czerwca, dał znać panu de Sartines o mającym ukazać się wkrótce pamflecie i przedłożył mu kilka ustępów. Wyjechał do Londynu 26. czerwca. To jest, że wysypka pokazała się 25. wieczór. Posłaniec któremu polecono zniszczenie pamfletu przybył z tą nowiną do Londynu: jakimże więc sposobem mogła się ona zna-

leźć w pamflecie? Co jeszcze dziwiło księcia Kaunitz to nadzwyczajna zdolność z jaką Beaumarchais skracał sobie odległość; z jaką szybkością pan Figaro odbywa podróż z Paryża do Wiednia, z tak drażliwą sprawą w ręku! przejeżdża Anglię, Holandję, Niemcy; jako podróżny ogląda Amsterdam; w Bawarji napadnięty przez rozbójników i wszędzie wychodzi zwycięzko, wyśmiewa się z głupców, stawia opór złym, przybywa w końcu po dwóch miesiącach podróży do stolicy Austrji i gotów jest oddać się na usługi Marji Teresy! Ta nie do uwierzenia szybkość, jeszcze większą wydawała się w oczach księcia niż była w rzeczywistości, bo rozkaz własnoręczny Ludwika XVI po długich usiłowaniach wyłudzony od niego a przepisany z wzoru jaki Beaumarchais zostawił przed wyjazdem, datowany był z dnia 10. czerwca i zaczynał się: „Pan de Beaumarchais pojedzie“ kiedy on od czternastu dni był w drodze.

Postanowienie księcia Kaunitz było bardzo jasne. 22. Sierpnia, o dziewiątej godzinie wieczór ośmiu grenadjerów z bagnetami i dwóch oficerów z dobytą szpadą, weszło do pokoju Beaumarchaisgo i zostawali tam 26 dni. Tymczasem książę zasięgał informacji o zajściu w Leichtenholz; przysłano mu zeznania ustne, złożone w Neustad i w Norymberdze w dniu 14. i 15. sierpnia. Dostatecznie objaśniony tymi dowodami, książę Kaunitz napisał do ambasadora austrjackiego w Paryżu i zawiadomił go o swoich podejrzeniach, które się zamieniły w pewność. Nie można już było wątpić, że napad złoczyńców był tylko wymysłem tajnego agenta króla Francji, ażeby zainteresować śwoją osobą i pokazać, wśród jakich niebezpieczeństw i trudności spełniał zlecenie. Jednym z dowodów fałszywości opowiadania Beaumarschaisgo, był w oczach księcia zbyt dokładny i drobiazgowy opis złoczyńców w zeznaniu złożonem w Norymberdze. Ta obfitość najmniejszych szczegółów jest znanym wybiegiem ludzi, którzy chcą sprzedać swój wymysł za prawdę; ale tu wybieg jest wcale niezręczny, jakżeż człowiek napadnięty przez dwóch złoczyńców, broniąc swego życia, może widzieć i pamiętać, że jeden z nich, który jechał na koniu karo-gniadym z białym znakiem na czole, miał blisko pięć stóp i dwa cale wysokości, nosi jasno-blond perukę na czarnych włosach, niebieski surdut z miedzianemi guzikami, czerwoną kamizelkę, spodnie i trzewiki skórzane; drugi zaś ma popielatą kamizelkę bez rękawów, niebieskie ubranie na ręku i wielki kapelusz bez ronda? Książę Kaunitz nie tylko nie wątpił, że Beaumarchais zdolny był podrapać się umyślnie brzytwą, ale posunął się dalej; podejrzywał go bowiem o autorstwo pamfletu: „Istnienie Wilhelma Angeluccego (szczególne nazwisko u żyda) jest, pisał on mniej jak dowiedzione.“ Dlatego też, ambasador austrjacki dostał polecenie od swego rządu, przedstawić królowi albo panu de Sartines dokładnie cały przebieg tej sprawy. Powinien oznajmić. iż tylko przez szacunek dla króla francuskiego, postanowiono przyaresztować jego tajnego agenta; ostatecznie chcemy tylko dogodzić Jego królewskiej M. i zastosować się do Jego decyzji, to jest, czy więzień ma być osądzony we Wiedniu, czy pod strażą wysłany do Francji, czy też wypuszczony na wolność. Na tę ostatnię właśnie propozycję zgodził się dwór królewski w Wersalu. Ludwik XVI. kazał wprawdzie przesłać cesarzowej: „Najżywsze podziękowanie za to, że starała się tymczasowo zebrać pewne dane o osobie agenta, który dziwnym zbiegiem okoliczności ściągnął na siebie podejrzenie, że nie jest wiernym swemu panu;“ ale działa tak, jakby zupełnie na to wszystko nie zwracał uwagi. Beaumarchais nie stracił bynajmniej łaski króla, nie opuścił nawet urzędu tajnego agenta i w następnym roku spotykamy go znowu w Londynie, z nowem poleceniem. Jeszcze mniej stracił łaski u królowej. Nazwisko jego wymienia raz Marja Antonina, w liście pisanym do matki z dnia 13. listopada 1774 roku. Prawdopodobnie Marja Teresa pytała się listownie córki o swego gościa z Schoenbrunn.! Zapomina najprzód na to odpowiedzieć, mówi z naiwnością dziecka o miłej niespodziance, jaką jej król zrobił, kładąc do szkatułki drugie tyle pieniędzy, a było tam tylko 96.000 liwrów; później zaś pisze: „Zapomniałam o Beaumarchais... Król uważa go za warjata, pomimo całego rozumu jaki posiada i zdaje mi się, że ma rację.“

Co do pana de Sartines, przyznał się, że jak tylko doszła go wiadomość o zajściu z rozbójnikami, nie dowierzał bardzo tej historji; utrzymywał że podróż do Wiednia była według wszelkiego prawdopodobieństwa już naprzód obmyślana, a miała zapewne na celu wynagrodzenie ze strony cesarzowej; przyznaje się, że Beaumarchais uwiadomił go o istnieniu pamfletu i że to właśnie na jego wskazówki i usilne prośby wysłany został do Londynu; zgadzał się w końcu, że można samego Beaumarchais podejrzywać o autorstwo tego pamfletu, tembardziej, że nie było nikogo, na któregoby mogło paść podejrzenie i przyznał się, że i jego trapiły podobne domysły. Ale następujące rozumowania skłaniały go do innego poglądu na te rzeczy: Beumarchais jest lekkomyślny, zuchwały, intrygant, ale ma jeszcze poczucie honoru. Utrzymują, że jest autorem pamfletu; lecz właśnie pamflet napada gwałtownie na księcia de Choiseul, protektora Beaumarchaisgo, tymczasem z nieprzyjacielem jego księciem d' Aiguillon, obchodzi się bardzo względnie; co się zaś tyczy szczepienia ospy u króla, w samem piśmie nie ma o tem wzmianki, ale tylko we wstępie, który mógł być dorobiony po wydaniu samego dzieła. W końcu czy wniosek księcia de Kaunitz nie był czasem błędny, wskutek niedokładności jednego z założeń? A mianowicie książę myślał, że według własnoręcznego rozkazu króla, agent jego pojechał dnia 10 lipca, a on był już w Londynie od dwóch tygodni.

Zatem na reklamację rządu francuskiego, Beaumarchais wypuszczony był na wolność 17. września. Wrócił niezwłocznie do Paryża i przedstawił rachunek ministrowi króla, wynoszący przeszło 72.000 lirów, które mu po usunięciu kilku wątpliwości zostały wypłacone. Król nie miał najmniejszej chęci poznania pamfletu; Sartines nie chciał wznawiać na powrót tej kwestji; i nie było już więcej mowy o Angeluccim. Beaumarchais śmiał jeszcze nawet zapytać o powód swego aresztowania w Wiedniu, ale taką tylko otrzymał odpowiedź: „Cóż chcesz mój drogi? cesarzowa wzięła cię za awanturnika.“

Trzeciego października, książę Kaunitz pisał po francusku do swego ambasadora:

„Nie będę panu więcej pisał o zajściu z panem Beaumarchais bo się już wszystko skończyło, dla nas przynajmniej, od chwili wyjazdu tego głupca; kazałem mu dać tysiąc dukatów jako prezent godny cesarzowej, chociaż z pewnością osobistość ta nie warta ani tych kłopotów, ani pieniędzy jakie nas kosztowała... Przyślij mi pan dokładne wiadomości ztamtąd o obecnem położeniu i o stanie interesów na przyszłość, gdzie wszystko zdaje się zapowiadać bardzo opłakane rządy.“ (Dok. n.)

---

# BRANKA TURECKA

przez

ZOFJĘ R.

*Obrazek osnuty na tle podań mojej rodziny.*

*(Dokończenie).*

Minęło lat szesnaście — i znowu czerwiec, i znowu wiosna, i znowu słońce świeci tak jasno i wesoło, ulica grabowa nęci ku sobie chłodem łagodnym, ale nie zwabi już nikogo na ranną przechadzkę w cienie swoje. Dworzec opustoszały stoi w smutku — pani bezdzietna owdowiała!

Starzec, złamany rozpaczą od lat już kilku, legł w grobie obok córki; ona trzyma się życia ostatnim węzłem, jaki jej pozostał na ziemi: miłością jedynego dziś dziecka. Joasia, długi czas po stracie sióstr, pragnęła wstąpić do klasztoru, chciała osobiste szczęście złożyć w ofierze pamięci krwawego nieszczęścia, lecz w końcu, po leciech kilku zaledwie, dała się zmiękczyć łzom i prośbom wiernie ją kochającego Józefa i słowom matki, która, pomimo rozbitego serca, podniosła się jeszcze do troski — o serce człowieka, który kochał jej córkę.

— Wolno ci — rzekła, kładąc rękę na głowie płaczącej u kolan swoich — wolno ci szczęście twoje własne złożyć na ołtarzu serc naszych rozdartych, lecz szczęścia Józefa nie wolno ci łamać; kochasz go, i on upoważniony twoją miłością, widzi już w tobie podporę i osłodę życia swego, i twoim obowiązkiem jest dziś stać się nią. Obowiązek przed ofiarą!

W kilka tygodni później, Józef, dziś już także po śmierci ojca swego starosta M., zabrał w dom swój młodą małżonkę.

Pani podkomorzyna P. w szesnastą rocznicę porwania córki siedziała samotna w komnacie sypialnej w wysokim, złoconą skórą wybijanym fotelu, przed nią stał stolik, na nim leżała książka do modlitwy, różaniec i okulary. Złamana nieszczęściem kobieta, nad wiek postarzała. Siedziała teraz nieruchoma, ze złożonemi na piersiach na krzyż rękami, z przymkniętemi oczyma, których nabrzękłe i zaczerwienione powieki mówiły o łzach niedawno oschłych. Wtem zaturkotało przed domem; staruszka ocknęła się z zadumy, podniosła ociężałe powieki i wzrok skierowała ku drzwiom wchodowym — znać oczekuje przybycia spodziewanych gości.

Istotnie otwarły się za chwilę i wbiegło niemi sześcioletnie chłopię, śliczne jak aniołek, jasno-włose, błękitno-okie, nieodrodna dziecina Jaksów, a dzwoniąc po dę-

bowej podłodze przypasaną szabelką, przypadło pieszczotliwie do babki. Za nim weszła matka jego, znajoma nam Joasia, a dziś starościna M. Babka gładząc śliczną główkę wnuka, uśmiechnęła mu się, i matka uśmiechała się do dzieciny, lecz w uśmiechu obu tych kobiet leżał smutek na dnie, drżały łzy, które nie mogły być nigdy wypłakane!

Córka usiadła przy matce, całując jej ręce, ta patrząc na nią uważnie, zapytała:

— Jan?

— Powrócił — była cicha odpowiedź. Staruszka poruszyła się żywiej w fotelu.

— I cóż? — zapytała spiesznie.

Joasia milcząc, poczęła czulej jeszcze całować rękę matki.

— O Boże! i znowu żadnych wieści?! — zawołała pani podkomorzyna, a potem dodała przyciszonym głosem, jak gdyby już tylko dla siebie: — I znowu rok prawie daremnego oczekiwania; rok znowu choć słabych, ach! coraz słabszych nadziei rozwianych jego powrotem!

Po tych słowach zamilkła; długo już milczały obie. W końcu matka znowu słowo podjęła:

— I kiedyż powrócił? gdzież bywał?

— Wrócił wczoraj; o, a gdzie on nie był! U Tatarów, na Turecczyźnie, w Krymie. Jeździł po miastach, rozpytywał ludzi, podkradał się do haremów, eunuchów przekupywał, piechotą po wsiach chodził, przebrany za znachora, za lirnika, wyuczył się ich mowy, i wszystko darmo!

— Na darmo!... — jęknęła matka.

— Biedne my, ale i on biedny; sześć już razy zwiedził całą Turecczyznę i tatarskie kraje, a powiedział mi dziś rano: »Wypocznę tylko i ruszę znowu w świat; ja tutaj nie wysiedzę; popłynę do Grecji, może pohaniec tam ją ukrył.« — Żal jego nie zmniejsza się, ale z każdym rokiem głębiej rozsiada się w duszy. Nie jest to już dzisiaj szalona ta rozpacz, która tak długo nie dawała się goić ranom jego i rok prawie trzymała go między życiem i śmiercią, ale taki już cichy i głęboki smutek, na jaki lekarstwa nie ma, i który tylko z życiem ustaje.

— Smutkiem tym — przerwała matka — serce moje związane jest tak silnie z jego sercem, iż mi jest drogim, jak gdyby był moim rodzonym synem. Kiedyż go zobaczę? czy nie mówił?

— Owszem, przyjdzie wraz z moim mężem dziś wieczorem.

Smutne takie rozmowy przerywało tylko szczebiotanie dziecka. Nad wiek rozwinięty Łukaszek wiedział, że tylko jego wesołość rozprasza szare mgły smutku, wiecznie wiszące nad babką i matką, to też wymyślał tysiączne figle i zabawy, aby choć blady uśmiech wywołać na ich usta. Tak przeszedł im czas do południa, po obiedzie pani podkomorzyna drzemała w swoim fotelu, córka z jakąś robotką, przeznaczoną do kościoła, siedziała przy niej, pilnując, by nic nie przerwało jej snu. Malca zabrała Małgorzata pod swoją opiekę, gdy wtem zaturkotało i zadudniło, jakby tententem kilkunastu koni przed domem. Pani starościna i przebudzona pani podkomorzyna spojrzały w otwarte okno, dlaczego to ich spodziewani goście tak butnie zajeżdżają, lecz jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzały ogromną podróżną karetę, otoczoną konwojem konnym, a o ileż zdziwienie ich wzrosło, gdy w konnych, po turbanach, strojach i uzbrojeniu, poznały straż turecką! Dziwne i tłumne uczucia zwaliły się na zdumione kobiety, jakiś rodzaj przerażenia zmieszanego z niejasną jeszcze i słabą nadzieją wiadomości o zatraconej córce, przykuły wzrok ich do otwartego okna.

Odchyliły się drzwiczki karety i jak sarna leśna, gibka, zręczna, a niby ztrwożona, wyskoczyła z niej młoda dziewica i zdziwiona rozglądała się do koła; za nią wysiadła poważnie słuszna niewiasta, we wschodnim, bogatym stroju, cała, jak srebrną mgłą, osłonięta białemi gazami. Gdy za chwilę stanęły obie podróżne w komnacie owdowiałej pani, i gdy starsza odsunęła z twarzy osłaniające ją gazy, podwójny okrzyk wyrwał się z piersi pani podkomorzyny i Joasi, i jednocześnie przybyła niewiasta leżała już w objęciach staruszki. Po chwili ssunęła się do jej kolan, okrywała je tysiącznemi pocałunkami, szepcąc zaledwie dosłyszanym, przez łzy tłumionym głosem:

— Tak matko, to ja, wasza tak okrutnie porwana córka; Bóg łaskaw i mąż mój, najlepszy pod słońcem człowiek, że was widzę jeszcze, że mogę jeszcze uścisnąć wasze nogi, że mogę wam bez zarumienienia w oczy spojrzeć! Ach, com ja wycierpiała!... Lecz Bóg mi to wszystko wynagrodził obecną chwilą!

Pani podkomorzyna, nieprzytomna prawie od wielkiego szczęścia, drżąc cała obejmowała córkę rękami, niechcąc ją wypuścić ze swoich objęć, jak gdyby się lękała, by ją znowu nie porwano. Joasia ściskała i całowała siostrę; zbiegli się słudzy i domownicy, zdziwieni i oszołomieni niespodzianem przybyciem zatraconej Zofji, witając ją, jak z tamtego świata. Ona przyprowadziła córkę swoją do kolan matki i rzekła:

— Oto matko, pierworodne dziecię moje, wychowane w miłości dla was i dla ojczyzny mojej, w miłości dla wiary i Boga mego! przywodzę je do stóp waszych i daję jako okup za siebie; niech ona będzie weselem i podporą starości waszej, jako ja, najmłodsza z rodziny, miałam nią być.

Babka przyciskała urodziwą wnukę do piersi, lecz zarazem z trwogą spojrzała na córkę.

— Jakto, dajesz jako okup za siebie? wszak odtąd będę was miała dwie, i tylko w ten sposób mogą mi być wynagrodzone długie lata łez i rozpaczy!

— Matko wiedzcie, że ja jestem prawnie poślubioną żoną przez ojca Zulejki i żem mu dobrowolnie przysięgła przed moim Bogiem dozgonną miłość i wiarę małżeńską. Czyżbym mogła przysięgę złamać i i opuścić go?

Pani podkomorzyna, pod niezaprzeczoną wagą tych słów, smutnie spuściła głowę na piersi.

— Nie zasmucajcie się matko, niech ten dzień radosny nie zaćmi się niczem, tylko chyba modlitwą i łzą żalu na grobie ojca i siostry, o których śmierci dowiedziałam się już w drodze, gdyż ja ani jutro, ani dni jeszcze następnych nie opuszczę was. O gdybyście wiedzieli — lecz na to trzeba znać obyczaje i charakter ludów mieszkających na Wschodzie — gdybyście wiedzieli, ile jest w tem, żem ja tu do was przybyć mogła, szlachetnego zaparcia się, ile ofiary z obyczajów uświęconych ich religją, ile ufności i wiary głębokiej w prawość moją, tobyście Bogu dziękowali, że córka wasza ślepym trafem dostała się w ręce takiego człowieka, a nie w ręce półzwierza, jakich tam najwięcej.

Joasia z żalem i zdziwieniem popatrzyła na mówiącą.

— Jakto, i tak mu zupełnie przebaczyłaś rozłączenie się z rodziną, śmierć siostry, rany zadane Janowi, z których w rok zaledwie powstał z łoża!!

— Więc Jan żyje! — zawołała Zofja żywo. — O chwała niech będzie Panu za tę wielką pociechę; nie śmiałam zapytać o niego. Nie wspominaj Joasiu onej strasznej chwili, gdym się ujrzała na siodle tego dzikiego barbarzyńcy; myślałam, że rozum utracę. Mój Selim właśnie wyrwał mnie z rąk onego pohańca i pierwsze uczucie, jakie powstało w mem sercu dla niego, była wdzięczność. Opowiem wam matko krótkie dzieje długich lat rozłączenia naszego.

Obstąpiono mówiącą dokoła, a nawet mały Łukaszek usiadł na poduszce u nóg babki, podniósł jasną swoją główkę i oczu nie spuszczał z opowiadającej. Zofja siedząc między matką i siostrą, tak dalej mówiła:

— Z porwaną tak okrutnie w waszych oczach, jak wicher biegł ten oddział tatarski dzień prawie cały bez wytchnienia; jam szalała z rozpaczy, lecz przywiązana silnie do siodła, co w największym biegu uskutecznił mój prześladowca, i żelaznem ramieniem Tatara przytrzymywana, bez ruchu prawie zostawać musiałam. Po długich daremnych usiłowaniach, które mi rozpacz podsuwała, udało mi się w końcu uwolnić jedną rękę o tyle, żem niepostrzeżona wyciągnęła nóż z za pasa pohańca i wsunęła go w rękaw mego odzienia. Dało mi to rodzaj spokojności, gdyż wiedziałam, że w razie jakiejś haniebnej napaści, mam już sobie czem śmierć zadać. Wśród tej szalonej jazdy, zrozpaczonej tem strasznem nieszczęściem, myślą o waszej rozpaczy, obrazem upadającego, krwią zalanego Jana, jak anioł pocieszyciel unosiła się nademną myśl ucieczki przy pierwszym wypoczynku tej hordy; przecież, myślę sobie, muszą raz zatrzymać się gdzieś na dłuższe wytchnienie. Ucieknę. Nie zastanawiałam się, czy będę mogła i w jaki sposób to zrobić, lecz chwytałam się słowa tego, jak tonący chwyta się wiotkich traw nabrzeżnych, chociaż wie, że z zerwanemi w ręku pójdzie na dno wody. Poźno już w nocy horda ta dzika zatrzymała się w jakiejś mi już całkiem nieznanej okolicy, w lesie nad strumieniem, gdzie widocznie było ich stanowisko, gdyż pod silną strażą byli już

tam pierwej gdzieś pochwyceni brańcy i łupy. Ci nieszczęśliwi towarzysze mojej niedoli, był to, po największej części, lud pokucki. Zbliżyć się do nich nie mogłam, obstąpieni byli strażą tatarską, pokrępowani powrozami, pozakuwani w kłody drewniane.

Rozłożyli się Tatarzy około nanieconego ogniska, puściwszy popętane konie na paszę, i poczęli ucztować, wydając dzikie okrzyki. Widząc ich na koniach, zbrojnych, nie można mieć wyobrażenia, jak dzicz ta wygląda strasznie w wypoczynku, gdy rozrywa zębami surowe, krwią ciekące, mięso. Zsadzona z konia i zwolniona z więzów (nie obawiano się ucieczki słabego dziewczęcia z pośród zbrojnej zgrai), zaledwie trzymając się na nogach, z nieodstępującą myślą ucieczki, powlokłam się o kilkanaście kroków od ich obozowiska, usiadłam na wywróconej kłodzie i zaczęłam gorąco modlić się do Boga o ratunek i pomoc. Przyniesiono mi kawałek surowego mięsa, odłam czarnego, spleśniałego i stęchłego chleba i skórzany kubek wody. Nogą pchnęłam precz od siebie wstrętne to jadło, a spiekłe usta odwilżałam rosą skropionemi listkami traw i kwiatów leśnych. Wkrótce tłuszcza ta dzika oznajmiła mi się głośnem chrapaniem, iż pogrążyła się już w śnie głębokim. Zdało mi się, że teraz jest jedyna chwila do wykonania mego śmiałego ale zarazem rozpaczliwego zamiaru. Nie wiedząc i nie myśląc o tem, gdzie się udam, w którą stronę ucieknę, poczęłam się cicho i ostrożnie posuwać po kłodzie, nareszcie podniosłam się, oglądając trwożnie, ale zaledwie postąpiłam kilkanaście kroków w głąb zarośla, gdym się uczuła silnie ujęta za ramiona. Obejrzałam się i ujrzałam ohydnie świecące ukośne oczy tego Tatara, który mnie uwiózł. W milczeniu odprowadził mnie na miejsce, w milczeniu zdjął powróz ze siebie, uzbierał trochę mchu leśnego, i milcząc ciągle, przywiązał mi powróz ten do nogi, podłożywszy pierwej pod węzeł mech zebrany. Następnie okręcił go około siebie a oddaliwszy się na długość jego, legł na ziemi i wkrótce począł chrapać. Nowa i straszna rozpacz mnie ogarnęła, zrozumiałam, że o ucieczce marzyć nawet nie mogę... O matko, jakież to były gorżkie łzy, któremi się zalałam! Uczułam się opuszczona od całego świata i od... Boga nawet... tak się gorąco modliłam, a czyż wysłuchał mojej modlitwy? O tak matko! bluźniłam tą myślą, lecz Bóg może przebaczy mi ten grzech ciężki, bo wie, że od rozpaczy przytomność mnie opuszczała. Jak bydle stałam na powrozie upięta!... Siły mnie opuściły, nogi się ugięły pode mną i nie wiedząc prawie kiedy, ległam w zimne wilgocią nocną trawy. Nóż miałam w rękawie, wydobyłam go i ujęłam w rękę; myśl ucieczki powróciła do mnie. Prześladowca mój uśnie twardo, przetnę powróz i, nim się koczowisko rozbudzi, ucieknę gdzieś przecie. Czuwałam — lecz spłakana, zmęczone powieki przymknęłam mimowolnie, myśli moje pobiegły do was, moi drodzy. Ze straszną dokładnością odtwórzyły mi się wypadki dnia ubiegłego. Ujrzałam znowu Jana, padającego pod ciosem morderczym, gdy stawał w mojej obronie, zasłaniając mnie mężną piersią. Toż zaledwie kilkanaście godzin ubiegło od chwili, gdy mi powiedział: że chyba po jego trupie mógłby sięgnąć śmiałek jaki po jeden włos z mojej głowy. — O jakże fatalnie ziściły się te jego słowa! Po jego trupie ohydny Tatar chwycił mnie w moc swoją! Obraz ten rozdzierał mi duszę. Lecz znużenie nieopisane wzięło górę nad wszystkiem; obrazy i myśli poczęły mi się mącić, i zapewne musiałam się zdrzemać, gdyż nie słysząc najmniejszego szelestu, uczułam nagle na twarzy mojej gorący, obrzydliwy oddech i pochwycenie rąk moich jakby w kleszcze żelazne. Krzyknęłam przeraźliwie, zerwałam się na nogi i ujrzałam pochylonego ku sobie jakiegoś Tatara. Scisnęłam nóż w dłoni i... bez myśli, zapewne wiedziona tylko instynktem zachowawczym, pchnęłam nim nie siebie, lecz napastnika. Raz mój widocznie był za słaby, gdyż on, wydawszy cichy jęk, ale nie zachwiawszy się nawet, rzucił się ku mnie jak wściekły. Lecz Tatar, do którego powrozu byłam przywiązana, szybko jak błyskawica poskoczył, chwycił go za kołnierz i z niesłychaną siłą wbił mu jatagan po samą rękojęć pod żebra, i drgające jeszcze cielsko cisnął w krzaki, zkąd jeszcze czas jakiś odzywało się śmiertelne harczenie. Niektórzy w koczowisku pobudzili się, podnieśli głowy i patrzyli obojętnie na rozgrywający się dramat, a pomimo, że się ten zakończył śmiercią ich towarzysza, posypiali znowu spokojnie. Drzałam strasznie na całem ciele, nogi gięły się pode mną, odmawiając mi posługi, lecz bałam się usiąść, by się znowu nie zdrzemać. Myśl ucieczki musiała mnie opuścić, gdyż zobaczyłam że Tatar ów, który trzymał mnie na powrozie, chociaż legł ponownie, jak gdyby do snu, głowę miał podniesioną i oczy świecące jak u dzikiego kota, wlepione we mnie. Opuściła mnie myśl ucieczki, a odlatując odemnie, pogrążyła całą moją istotę w jakieś takie dziwne odrętwienie, iż uczułam się nagle, jak gdyby na wpół umarłą. Straciłam uczucie, straciłam jasność myśli, i nie jak żyjące stworzenie, ale jak rzecz jaka, tracąc równowagę, zwaliłam się z nóg w gąszcz traw leśnych... Zaległa straszliwa cisza, przerywana tylko chrapaniem uśpionej tłuszczy i chrzęstem pasących się koni.

Przyszłam teraz do zupełnej przytomności i samowiedzy strasznego mego położenia, gdym się o świtaniu ujrzała znowu na siodle ohydnego mego prześladowcy. Tyle ulgi tylko miałam, że wieziono mnie nie tak skrępowaną. Gdy drugim nieszczęśliwym jeńcom powrozy wgryzały się w ciało, zostawując krwawe ślady za pochodem, to sznur przywiązany do mojej nogi, starannie był mchem okręcony i nie sprawiał mi żadnego bolu. Ach, ale pomimo to, jakże okropnie cierpiałam!!... Jak długo trwała podróż ta rozpaczliwa, trzy, cztery dni, czy tydzień, nie umiem tego powiedzieć. Z początku nie przyjmowałam żadnego pożywienia, lecz gdym osłabła tak, że już na siodle utrzymać się nie mogłam, Tatar wiozący mnie zmusił do jedzenia, i ja nie godziłam na życie moje, gdyż pomimo nieszczęścia, które mnie spotkało, nie opuszczała mnie (gdym się niejako oswoiła z obecnem położeniem mojem) w słowa nieujęta nadzieja lepszych dni kiedyś. Czy myślałam jeszcze o ucieczce, czy przeczuwałam wybawcę — dziś już nie wiem, dość że jadłam ten stęchły, obrzydzenie budzący chleb i mięso, które dla mnie, na nieostruganym nawet kawałku drzewa, przypiekano przy ognin.

Jak powiadam wam, matko, nie wiem już po ilu dniach podróży wjechaliśmy w kraj odmienny od tego, przez który dotąd przejeżdżaliśmy. Pierwej często bardzo, co parę dni, oddzielało się po kilkunastu od hordy, uježdżali gdzieś w bok, a potem po kilku godzinach łączyli się znowu, przywożąc przytroczone przy siodłach pobite barany, poćwiertowane woły, któremi na noclegach żywili się. Teraz już zatrzymywali się w każdej wsi, które miały zupełnie inny pozór, jak nasze, w każdej żywili ich jak przyjaciół, i w każdej niemal oddzielało się po kilku od hordy i zostawało na miejscu. Ci już tylko pozostali, którzy prowadzili niewolników. Przejeżdżaliśmy przez kraj górzysty, poprzecinany zielonemi bujnemi łąkami, rzekami, polami zasianemi nieznanym gatunkiem zboża. Promienie słońca piekły nieznośnie. Jak później dowiedziałam się, że byliśmy już w Turcji...

Nareszcie jednego dnia poczęliśmy się zbliżać do jakiegoś miasta. Już zdala widne były kopuły minaretów, półksiężyce w świetle słońca połyskujące, jakby z nieba zdjęte, poszły na służbę do pohańców.

Jeden z prowadzonych jeńców, staruszek, który w ciągu drogi okazywał mi, o ile mógł tylko, współczucia i litości, niepostrzeżenie przywlókł się w moje pobliże i półgłosem nie podnosząc ani zwracając ku mnie głowy, począł niby sam do siebie mruczeć:

— O biedniż wy, śliczna panienko, czy wiecie, gdzie nas tak wloką? i po co? a to do miasta, na targ, jak bydlęta; jam już i w tem bywały, po raz drugi idę w turecką niewolę, już mnie przedawano, targowano, opatrywano jak bydlę czym silny, i wzięto za mnie duży grosz. Uciekłem. Dziś nie zarobi na mnie wiele ten, co mnie wiedzie, straciłem cenę, lata moje uniosły ją z sobą, i to mi sprawia rodzaj radości. Ale wy, świeża jak kwiat, drogim towarem jesteście, dlatego was tak pilnował ten pies pogański, nie krępował ciała powrozami, by brzydkich znaków i sińców nie porobić, przypiekał mięso byście jedli, bo piękność wasza, ciało wasze białe, to jego fortuna. Obnaży was z szat i wystawi na targ publiczny!! I będą przychodzić niewierni i targować was jako bydlę, spierając się o cenę. O czemużeście stokroć pierwej nie umarli w ojczyźnie, czemu was nie pogrzebiono w rodzinnej poświęcanej ziemi, za cóż wy, niewinna gołąbko, doczekali się takiej hańby!!...

...A, matko! jakże ja wam wypowiem co mi się działo, gdym usłyszała o mojem przeznaczeniu! Dotąd tak byłam znużona,

tak osłabła, tak jakoś dziwnie odrętwiała, że myśli już nawet zebrać nie mogłam, nic nie myślałam co się ze mną stanie, gdy się ta droga skończy, to jest, nie myślałam nawet czy się ona skończy kiedy. Słowa dopiero tego starca zbudziły mnie, dopierom sobie przypomniała com kiedy słyszała o sprzedaży niewolnic w Turcji, i taka mnie rozpacz ogarnęła, taka wściekła rozpacz, taka rozpacz piekielna, żem w jednej chwili postanowiła umrzeć, nim jeszcze wjadę w bramy ohydnego tego miasta, gdzie się ma dokonać na mnie haniebne zdeptanie istoty ludzkiej! Umrzeć? a więc trzeba sobie śmierć zadać. Chwyciłam nóż, który ciągle kryłam w rękawie, wzniosłam w górę i wymierzyłam we własne serce. Lecz Tatar siedzący za mną na koniu, dostrzegł mój zamiar, pochwycił mnie za rękę by nie dopuścić do tego, szarpnęłam mu się jak raniona tygrysica, i poczęłam się szamotać, chciawszy się uwolnić od jego przemocy. A nie wiem zkąd się we mnie tyle sił wzięło, gdyż dobrą chwilę opierałam się, nie dopuszczając wydarcia sobie noża, co go przyprowadziło do wściekłości. Szkaradne jego wąskie ukośne oczy świeciły jak u dzikiego zwierza. Wtem z za góry ukazało się kilkunastu jeźdźców, zbrojnych, w barwistych szatach i turbanach, spostrzegli snać śmiertelną walkę, jaka się toczyła nieopodal od nich, puścili konie galopem i w mgnieniu oka byli już przed nami. Jeden z nich wysunął się naprzód, i w nieznanym mi języku krzyknął coś na szamocącego się Tatara ze mną. Ten natychmiast puścił moje ręce. Podniosłam oczy na stojącego przed sobą, a ujrzawszy twarz ludzką, nie taką dziką jak te, które mnie otaczały przez dni kilkanaście, łagodną i jakby jakąś jasną, nie myśląc o tem, że cudzoziemiec słów moich nie zrozumie, wyciągnęłam ręce do niego rzucając nóż na ziemię i zawołałam:

— Ratuj mnie!...

On zaczął znowu coś bardzo żywo mówić do Tatara, lecz ten ruchem głowy przeczył, potem nagle chwycił mnie silnie w pół, a konia z całych sił uderzył nahajką, chciał uciec, lecz tej chwili obskoczony przez zbrojnych Turków, gdyż Turcy to byli, wstrzymać się musiał. Ten, który pierwej przemawiał do niego, poskoczył teraz z koniem ku mnie, wyciągnął ręce jakby mnie chciał zdjąć z siodła Tatara, ale barbarzyniec trzymał mnie tak silnie, że myślałam, że mi kości pogruchocze. Obrońca mój widząc, że się nawet poruszyć nie mogę, w jednej chwili, bez namysłu, jak błyskawica z ogromną siłą puścił krzywą szablę na ręce Tatara, ten jęknął i zwalił się z konia, a ja jak piórko lekko podniesiona w górę, siedziałam już na siodle mego obrońcy. Któż teraz opisze radość moją! a zarazem zdziwienie, gdy Turek przemówił do mnie w mojej ojczystej mowie. Nie badając ani dochodząc zkąd ją posiada, złożyłam ręce jak do modlitwy i drżąc jeszcze z przestrachu zawołałam: O panie! ale ty mnie nie sprzedasz na targu publicznym w mieście!

On pogładził delikatnie stargane moje włosy, i rzekł łagodnym, pieszczonym głosem, jak ojciec mówi do chorego dziecka:

Uspokój się piękne dziecie, odtąd ja już będę twoim opiekunem i nie oddam cię nikomu i za nic.

I to matko był mój drogi, mój ukochany Selim. Łowów już zaniechał, na które był się wybrał z przybocznym dworem swoim, zawrócił do miasta i zawiózł mnie do swego haremu. W drodze powiedział mi, że mowy naszej i obyczajów nawet nauczył się mieszkając dłuższy czas w Kamieńcu Podolskim, będącym jeszcze wtedy w ich ręku.

Selim osadziwszy mnie w haremie, przeznaczył dla mnie osobne komnaty i otoczył zbytkiem i przepychem, o jakim dotąd nie miałam wyobrażenia, przepyszne dywany, przecudowne dotąd przezemnie nie widziane kwiaty, fontanny bijące różanną wodą, marmurowe wanny, złociste makaty perskie, perły blasków niezrównanych, jak w zaczarowanym zamku.

Wszystko to nie nęciło mnie, smutnem mi się wydawało, tak tęskniłam za wami, tak mi było okropnie pomyśleć, żem na zawsze od ojczyzny, od drugich moich oderwana! Ach, matko ukochana, wyznam tu przecież jak na spowiedzi, że w krótkim czasie, cuda te pokrywały mię podwójnym smutkiem, gdym Selima nie widziała przy sobie! On taki był dobry! Miałam oddaną do usług moich, starą niewolnicę, przed dwudziestą dwoma laty zabraną w jasyr pod Podhajcami i sprzedaną następnie w Turcji; mowy ojczystej prawie zapomniała; ale zobaczywszy u mnie książkę do modlitwy, którą miałam w czasie porwania, i przechowałam szczęśliwie, rozpłakała się gorącemi łzami, całowała obrazki święte, i już potem przychodziła do mnie co rano i modliłyśmy się razem, jednak bardzo mi nakazywała, bym tej książki nie pokazała Selimowi, gdyż odbierze mi ją i spali, jako przeciwną ich prorokowi. Lecz jednego dnia zeszedł nas niespodziewanie przy modlitwie, przelękłyśmy się bardzo, a on uśmiechnął się tym swoim dobrym, słodkim uśmiechem, codziennym zwyczajem pogładził moje włosy, już teraz lśniące, zlane wonnemi olejkami i rzekł:

— I czegoż się kryjesz przedemną, wszak wiem żeś chrześcijanką i kochasz swego Boga, toż musisz chwalić go modlitwą. Nie wzbraniam ci tego, bo i na cóżby się zdało, modlitwa płynie z serca, czyż mogę ci rozkazać zamknąć je dla Boga? Książka tylko pomocnica pamięci. Już od tej chwili modliliłyśmy się otwarcie. Co dnia przychodził do moich komnat, ale zawsze wtedy kazał starej niewolnicy usiadać na dywanie i prząść wełnę przetykaną złotem, w czem była mistrzynią. A dla tego to czynił, bo wiedział, że obyczaje nasze niepozwalają młodej pannie pozostać sam na sam z młodym mężczyzną. Nie chciał mnie w niczem dotknąć, w niczem urazić, w niczem przykrości zrobić. Czyż mogłam go nie pokochać?!... Ach, matko, muszę wam wszystko powiedzieć, wszystko, chociaż wiem, że was to może zabolić.

A skłoniwszy głowę na piersi matki — wyszeptała zaledwie dosłyszanym głosem:

— Byłam taka szczęśliwa! Ale nie myślcie matko — dodała natychmiast — że zapomniałam o was, o rodzinie, o kraju, nie. Prosiłam Selima by mi pozwolił napisać, donieść że żyję, pozwolił, pisałam, pisałam kilka listów jeden po drugim, na próżno, żadnej odpowiedzi nie odebrałam od was.

— O Boże! — wykrzyknęła razem pani podkomorzyna i Joasia.

—Wiem — przerwała natychmiast Zosia — nie odebrałyście tych listów, Selim nie wysyłając je, niszczył. Darujcie mu to, on mnie już kochał, obawiał się, że rodzina się zgłosi, zechce dać okup, że ja zobaczywszy swoich, wyrywać się do nich będę. Darujcie mu, on to zrobił z miłości dla waszego dziecka. Kochał mnie już, jak sam mnie mówił, nad wszystko drogie na ziemi, nad siódme niebo proroka, nad raj mahometa, nad rozkosze hurysek tego raju... To też oddalił wszystkie niewolnice od boku swego, a mnie poślubił jako prawą i jedyną żonę. I jam mu przysięgła przed moim Bogiem miłość i dozgonną wiarę małżeńską.

W rok urodziła mi się córka, czoło nowo-narodzonej dzieciny nakreśliłam znakiem krzyża świętego i dałam jej imię Zosia, ponieważ imię to jest waszem imieniem, matko. Wtenczas już postanowiłam oddać ją wam i ojczyźnie.

Ślicznie mi się chowała Zulejka moja, a życie płynęło cicho i radośnie. Otoczona miłością ukochanego męża, gwarem urodziwych dziatek, gdyż w rok później Bóg dał mi syna, byłabym zupełnie szczęśliwa, gdyby nie tęsknota za wami droga matko, za rodziną, gdyby nie obraz wiecznie stojący mi przed oczyma, upadającego Jana w mojej obronie pod cięciem Tatara. Mąż mój widząc, że lata nie tylko nie zmniejszają żalu mego za wami, ale przeciwnie, z każdym rokiem robią mi go cięższym, uczynił to dla mnie, co jeszcze nie było dla żadnej niewiasty na wschodzie uczynionem. Wyrobił sobie u króla naszego list żelazny na wolny przejazd zbrojnego oddziału, który mnie przeprowadza i pozwolił was droga matko odwiedzić,*) lecz musiałam mu powtórnie przysiądz, że powrócę do niego po upłynionym czasie, który mi wyznaczy na przebycie u was. Widzicie więc, że tylko jemu i Bogu mamy podziękować, że się jeszcze oglądamy.

Pani podkomorzyna i Joasia w czasie opowiadania Zofji, po razy kilka musiały łzy biegnące po licu ocierać, a i teraz nie mogły się oddać zupełnej radości z odzyskania córki i siostry; ta córka, ta siostra, już oderwana od nich na zawsze, przysięgą i sercem związana... z muzułmaninem!... Długo jeszcze trwały zwierzenia, pytania bez końca, łzy i radości. Pani podkomorzyna okrywała pieszczotami klęczącą u nóg swoich wnuczkę, którą, zapominając że jest dziecięciem Selima Turka, a pomnąc tylko, że to pierworodne dziecię tyle lat opłakiwanej Zofji, już kochała.

*) Prawdziwe.

Nad wieczorem zatentniło znowu i starosta M. z bratem ukazali się w progu. Lata ubiegłe w ciężkiej trosce i tęsknocie serdecznej, zostawiły za sobą na obliczu Jana męzkiem już dzisiaj, ślad smutku, ale zarazem opromieniły je dziwnie szlachetnym, serca pociągającym wyrazem.

Bracia zajechali przed dworzec nie spotkawszy nikogo ze służby, nie wiedzieli więc jakich gości mieści w podwojach swoich.

Gdy weszli, Zofja z Joasią siedziały w zagłębieniu okna, zasłonięte ciężką makatą, służącą do przysłaniania tegoż od zbyt rażącego światła, którego wypłakane oczy staruszki nie znosiły. Zulejka stała przy babce rozkładając na jej stoliku wschodnie złotem przetykane materje, wonne kadzidła, drogocenne olejki, dary dla niej przywiezione.

Promienie zachodzącego słońca, padały na nią i stała tak w blasku, dziwnie podobna do matki swojej, jej miała wzrost, jej gibki skład ciała, włosy i oczy takie jak u niej, na pierwszy rzut oka istny matki portret. Przypatrzywszy się bliżej, wybitny typ wschodni, jakie nosiły jej rysy, stanowił między niemi różnicę. Jan przestąpiwszy próg komnaty, skamieniał z zadziwienia ujrzawszy ją, a potem z okrzykiem: Zofja! — poskoczył ku dziewczęciu. Ona zarumieniona i zmięszana cofnęła się o krok i zwróciła głowę ku matce, ta na okrzyk Jana powstała żywo, postąpiła ku niemu a podając obie ręce, zawołała wrzuszona:

— O bracie drogi! widzę cię jeszcze! ach, a wieleż to łez wylałam nad mniemaną śmiercią twoją...

Jan jak oszołomiony, jak nieprzytomny stał między temi dwiema kobietami, nie wiedząc, która jest snem jego młodości... czuł, że obie tak bliskie, i obie... ach tak obce... Czyżby ta niewiasta we wschodnim stroju była jego Zofją ukochaną??...

— Jam cię lat tyle szukał po całym wschodzie!...

— Wiem, właśnie Joasia opowiada mi o tem, a ja przebyłam te lata w haremie Selima, trytulnego baszy Turcji.

Jan tarł ręką czoło. Czy sen to? — powtarzał, i chciał się zbudzić, lecz niestety i obraz i słowa zbyt były rzeczywistemi by to się stać mogło.

Dowiedziawszy się o przygodach Zofji, o przysiędze i miłości jej dla Selima, nie rzekł już ani słowa, przesiedział milczący cały wieczór, a nazajutz, nie żegnając się z nikim, ruszył gdzieś w świat. Była to jedyna chmura, która zaciężyła nad radośnym kilkutygodniowym pobytem Zofji w domu matki.

---

W ciągu jeszcze kilkuletniego życia pani Podkomorzyny P. Branka turecka każdego roku przyjeżdżała do Polski na sześć tygodni *), które spędzała z matką i córką swoją. Zulejka do końca życia babki zostawała przy niej, pielęgnując ją. Po jej śmierci wstąpiła do klasztoru pp. Sakramentek we Lwowie, gdzie w późnej starości umarła jako przełożona pod imieniem matki Agaty. Jan w dziesięć lat po opisanych tu wypadkach, w roku 1715 przystąpił do konfederacji tarnogrodzkiej, zawiązanej pod laską Leduchowskiego, podkomorzego Krzemienieckiego, przeciw wojskom saskim ciążącym tak strasznie w owym czasie na Polsce, i gdzieś w jakiejś bitwie zaszłej pomiędzy Polakami i Sasami, zginął.

*) Prawdziwe.

K O N I E C.

## PROGRAM I STATUT
# Akademji Mickiewiczowskiej w Bolonji.

*(Tłómaczenie z włoskiego.)*

Znany już nam z pisemka swego o *Polsce i Akademji Mickiewiczowskiej* autor włoski Attilio Begey, ogłosił niedawno w *Gazecie Turyńskiej* zajmującą wiadomość o programie i statucie tejże akademji, którą tu za nim powtarzamy:

*Alma mater studiorum* — mówi p. Begey — która niegdyś wzięła sobie godło: *Bononia docet*, wierna klasycznym tradycjom swoim, dokonała w tych dniach dzieła rozpoczętego w zeszłym lecie, przez ostatnie urządzenie Akademji historji i literatury polskiej i słowiańskiej, o której mówiliśmy już czytelnikom naszym w ubiegłym roku.

Cel takowej: nabywanie i szerzenie historycznej i literackiej wiedzy o Słowianach, pod względem ogólnych interesów, wynikających z porządku rzeczy, do którego dążą liczne składające tę wielką rodzinę narodowości, znajduje w świeżo zatwierdzonym i ogłoszonym programie i statucie Akademji, najszlachetniejsze wytłómaczenie a zarazem najszczytniejszą drogę urzeczywistnienia. Dla tego też chcemy dać o tem rys czytelnikom naszym.

W samym początku program przypomina to zdanie pani de Staël, „że Francuzi niewiele przysporzyliby chwały ojczystej literaturze, gdyby, przez źle zrozumiany patrjotyzm, ograniczyli się byli do poznawania własnych pisarzów z zaniedbaniem obcych“. Dalej następują zdania Goethego i Mazziniego, co do Niemiec i Włoch, zupełnie z powyższem zgodne, a oraz przywiedzione są bardzo stosownie następujące słowa — jak mniemamy — tegoż Mazziniego: „Historja i literatura Polski, która zajmuje miejsce naczelne, jakoby pani i w wielkiej części mistrzyni innych ludów słowiańskich, z wyjątkiem tuż za nią idących Czechów, jest dotąd niestety prawie nieznaną we Włoszech, lubo jest bardzo bogatą w najpożyteczniejsze dokumenta społeczne i w klasyczne piękności literatury łacińskiej i rzymskiej, ozdobione najsilniejszemi i najszlachetniejszemi uczuciami miłości ojczyzny, z których i literatura włoska mogłaby odnieść niezmierną korzyść.“

Pomijając pobieżny pogląd, który program rzuca następnie na wiele ważnych punktów historji i literatury ludów słowiańskich, przytoczymy raczej następujący wyjątek wyłącznie Polski dotyczący:

„Zewnętrzna polityka Polski streszcza się w nieustannej walce z barbarzyństwem hord azjatyckich, która zjednała jej zaszczytne imię tarczy Europy i przedmurza Chrześciaństwa, jak to każdemu wiadomo.

„Nie tyle jest znaną jej polityka wewnętrzna, w której przebija się najczystszy objaw ducha słowiańskiego i ludów, które się z nim połączyły, przyjąwszy jednozgodnie za zasadę państwowego ustroju nie prawo zdobyczy, ale prawo woli narodu.

„Od 1377 r. (?)* król panował nie z prawa urodzenia, ale z mocy układu z narodem; a Rzeczpospolita powiększała się nowemi prowincjami nie podbojem, ale z woli tychże samych prowincji, które przez swych delegatów lub posłów wyrażały pragnienie wejścia w skład Rzeczypospolitej; ta zaś przyjmowała je uroczystemi aktami unji, opiewającemi w formie wspólnie umówionej: że takie połączenia dopełniały się jako ludzi wolnych z wolnymi, równych z równymi, i jako oddzielnych członków jednoczących się dla utworzenia wielkiego, nierozdzielnego ciała narodowego. “

„Tymto sposobem Polska wywierała tę potężną attrakcyjną siłę swoją, która nawet prowincje odmiennego pochodzenia i różnej religji tak pociągała ku niej, że się już one nigdy nie odłączały, i że nigdy potem nie wszczynały się między niemi rozdziały lub wojny religijne, które w innych krajach tak zgubnemi były.

„W tym to systemie zjednoczeń podniesionych w Polsce do pewnego rodzaju prawa międzynarodowego, odpowiedniego temu prawu, do którego dążą dziś ludy cywilizowane, objawia się właściwy pierwiastkowy charakter Słowian, i jasnem staje się prawo Polaków do moralnego przodkowania tymże ludom.“

Słyszeliśmy nieraz jak tym, którzy wyrażali nadzieje swe co do wybawienia Polski, przedstawiono owe smutne słowa: *finis Poloniae!*, które miał niby wyrzec zrozpaczony duch wielkiego Kościuszki, po przegranej Maciejowickiej 10go października 1794 r. Ale nieprawdą jest jakoby od niego wyszły te słowa; przeciwnie, były one nieszczęsnym płodem jakiejś rossyjskiej wyobraźni, i Kościuszko sam się ich wyparł w przedziwnym liście swym do hr. de Ségur, z 20go *brumaire* XII roku (12go listopada 1803).

Program akademji, lubo o tym szczególe zamilcza, tłómaczy jednak że Polska zginąć nie może. Powiedziawszy o jej żywotności historycznej, moralnej, naukowej i piśmienniczej, tak dalej mówi:

„Czem się to dzieje, że moralna potęga Polski pomimo to istnieje, że Polacy, wśród tylu mąk niesłychanych, po takiem zniszczeniu wszelkiej własności i wszelkiej obrony ich, przechowują ducha niepodległości, ducha wolności i propagandy cywilizacyjnej, który jest składowym pierwiastkiem ich narodowości?

„Co to jest, co w nich tak cudownie działa? Jest to ich niewzruszona wiara w swą przyszłość, żarliwość z jaką czują to co jest prawdą, dobrem, religja Chrystusa jedną całość z miłością ojczyzny stanowiąca, ztąd duch wyrzeczenia się siebie i ofiary bez granic. Oto są w historji polskiej zasadnicze czynniki, które utworzyły najszlachetniejszą Rzeczpospolitą, zrodziły niczem nieznużoną odwagę w obronie tejże,

*) 1339 r. Kazimierz W. naznaczając po sobie następcą siostrzeńca swego Ludwika, króla węgierskiego, żąda na to przyzwolenia narodu, a tem samem przyznaję mu prawo rozrządzania koroną. 1370—1382 panowanie Ludwika. 1374 pakt koszycki, na którym szlachta przyzwala na osadzenie na tronie jednej z córek Ludwika. 1385. koronacja Jadwigi. (Przyp. Tł.)

a nawet w obronie Europy od barbarzyńskich napadów, zjednały narodowi całemu najsłuszniej należną mu nazwę narodu rycerskiego i bohaterskiego, wydały cuda waleczności legionów polskich we Francji i we Włoszech, chwalebne czyny emigracji polskiej“...

A dalej, opuszczając granice ludów słowiańskich, dla wejścia na szersze pole ludzkości, program bardzo rozumnie wyciąga wniosek z cnót, które w ludach tych napotkał, wołając: „W niezmiernym chaosie namiętności, wielkich pragnień, opłakanych zboczeń a zarazem szlachetnych usiłowań dla odrodzenia się, które w obecnem społeczeństwie ścierają się z sobą i wytwarzają żywioły tej kwestji, która się zowie *socjalną*, nigdy nie będzie można dojść do porządku i pokoju, dopóki się ludzie nie wykształcą i nie przekształcą w tym duchu chrześcjańskiej miłości, pojmowanego w prawdziwem świetle braterstwa, doskonałej wyrozumiałości, któryby ich do stałej zgody powołał, w niej utwierdził i dał im poczuć piękność i niewymowny powab wzajemnej miłości, bez której próżnemi są wszelkie studja, nie mniej jak wszelkie usiłowania prawodawstwa, i pokojowych kongresów, i demokracji.“

Zaiste, szczytne to słowa, które każdy z nas może sobie wyryć w sercu, a które okazują jak godnych tłómaczów cnót swoich mają Polacy w założycielach akademji.

Ale i wad ich program nie pomija milczeniem, owszem głęboko ubolewa nad niemi i nad licznemi błędami, których one były przyczyną we wszelkich gałęziach ich życia prywatnego i publicznego, narodowego i międzynarodowego, błędami, które jakkolwiek wyrozumiale tłómaczone, nie mniej się okazują wielkiemi i zgubnemi. Ale słusznie dodaje program, Polacy za swe błędy „złożyli tak wielką pokutę ofiar i krwi, iż wskutek tego, tem przedziwniejszemi i promienniejszemi stały się w oczach całego świata czystość, siła i dobroć ich duszy“.

Nareszcie, powiedziawszy o znaczeniu i doniosłości tego, co się stało roku zeszłego w Krakowie, z powodu literackiego jubileuszu Kraszewskiego, (o którym także w swoim czasie powiadomiliśmy naszych czytelników), i wspomniawszy o warunkach, w jakich obecnie znajdują się Czechy i Rosja, program, zwracając się do Włochów, wyraża następujące myśli, z któremi się żywo zespalamy:

„Po odzyskaniu wolności, jedności i niepodległości, któremi się już dziś, Bogu dzięki, cieszymy, jeżeli charakter wielkiego, wolnomyślnego i szlachetnego narodu, jakim oczywiście miło nam się szczycić, doprowadzi nas do tego, że staniemy jako jawni i szczerzy obrońcy i wspomożyciele wolności i niepodległości ludów uciśnionych i cnotliwych, to jakże wielką będzie powinność nasza przyczynienia się do dobra tego z nich, z którym łączy nas stara, niczem niezamącona, prawdziwa przyjaźń, i który je wszystkie przewyższa bohaterstwem ofiar swych nie tylko dla własnej ojczyzny, ale dla całej Europy i dla samychże Włoch naszych!

„Zadaniem akademji naszej jest wyłącznie nauka i czysto moralne współdziałanie; ale nie mniej pożyteczną będzie to rzeczą, kiedy w wywodach jej, oprócz zdumiewającego nabytku cennych bogactw literackich, wystąpią na jaw i rozleją się wszędzie za pomocą zdrowych zasad nauki, krytyki i filozofji, prawdy historyczne, nieodzowna powinność uznania przyrodzonych praw pojedyńczych ludów, chociażby zdeptanych, a oraz pożytek i ratunek wszechstronny mogący wypłynąć dla Europy i dla Włoch w szczególności, z przywrócenia samoistności narodom słowiańskim, a nadewszystko pierworodnemu z nich, walecznej Polsce.“



Zakończymy rys ten kilkoma słowy o statucie.

Sam tytuł tej akademji okazuje, że jest ona głównie stowarzyszeniem uniwersyteckiem, składającem się z profesorów i słuchaczów wszechnicy bolońskiej, do którego przystępują też i osoby z poza jej obrębu, podzielające myśli i cele streszczonego przez nas programu. W innych miastach włoskich podobnież, członkowie wybierani są przeważnie ze zgromadzeń naukowych i literackich, a następnie z pomiędzy tych wszystkich, którzy się zajmują Słowianami, ich historją i literaturą.

Członkowie dzielą się więc na miejscowych i korespondentów, a każdy przyjmujący udział w akademji, składa malutką daninę trzech lirów rocznie.

Bibljoteka, pismo perjodyczne (będące dotąd tylko w zamiarze), zebrania, konferencje miesięczne i doroczne, prace historyczne i literackie, tłómaczenia i inne podobne środki, stanowią życie tej akademji, liczącej w swem gronie wiele znakomitości, o których już w roku zeszłym mieliśmy miłą sposobność nadmienić.

Akademja ma prezydenturę, zajętą obecnie przez założyciela jej, czcigodnego profesora i kawalera Santagata i dwie wiceprezydentury sprawowane również przez dwóch znakomitych członków ateneum bolońskiego. Działalność akademji jest nieustającą, a prace jej podawane są do wiadomości publicznej przez dziennikarstwo włoskie i zagraniczne, od którego odbiera ona liczne objawy przychylności, które mieliśmy również przyjemność stwierdzić.

Lubo akademje, zwłaszcza literackie, zazwyczaj dotąd służyły do powiększenia raczej liczby bezowocnych rozpraw, niż działalności praktycznej, do rozszerzania raczej teorji reform, niż reform samych, żywimy jednakże nadzieję, że wpływ akademji bolońskiej okaże się wcale innym, bo cel jej jest mądrym, bo literatura, którą się ona zajmuje jest w istocie swej filozoficzną, bo historyczne osobistości Słowian nie są ideologami, ale ludźmi czynu; i dla tego właśnie prace tej akademji będą nie czczą daniną, ale jak tego gorąco pragniemy, czynnem i skutecznem apostolstwem wielkich prawd i wielkich przykładów, apostolstwem pożytecznem nie tylko dla Polski i innych ludów słowiańskich, ale też i dla Włoch, drogiej ojczyzny naszej.

---

## Z INTERMEZZO.

I.

Kochałem ją z rozpaczą, z szałem,
Nocami tonąc w łzach —
Lecz w tedy wciąż na ustach miałem
Jedynie: «och!» i ach!...

Dziś, kiedy myśl do tych sercowych
Upojeń wraca znów,
Dziś ja do piosnek coraz nowych
Nie szukam długo słów.

II.

Rośnie kwiat polny nocą w lesie
Ukryty w cień i w ciszę,
Perełkę rosy, skarb jedyny,
Na listkach swych kołysze.

O świcie jasny słońca promień
Wpadł w leśny cień i ciszę —
Perełkę rosy, zabrał z sobą —
A kwiat się wciąż kołysze...

III.

W piosnkach kładłem jej pod nogi
Gwiazd mirjady, róż kobierce...
Ona rzekła: «Dar za drogi,
Połóż lepiej — tylko serce!»

*Czesław.*

---

# DZIWNE KARJERY

## POWIEŚĆ

*Jana Lama.*

*(Ciąg dalszy.)*

Sekretarz spostrzegł był przez okno nowoprzybyłego gościa i wybiegł na jego powitanie, poczem porwał go z sobą tak spiesznie, że zaledwie dał mu czas ukłonić się pannie Natalji i skinieniem głowy uznać obecność Stanisława. Tym sposobem, rozmowa interesującej nas przedewszystkiem młodej pary przerwaną została tylko na chwilę, i do towarzystwa przybył tylko Turpin dr. Mitręgi, który, ściśle rzecz wziąwszy, nie powinienby był przeszkadzać przy wymianie zdań i uczuć między narzeczonym a narzeczoną. Ale Turpin był to pies osobliwszego rodzaju, świadomy swego pochodzenia zamorskiego i swego wychowania u hr. Skirgiełły, pewny siebie, i według kaprysu obdarzający jednych sympatją, a drugich antypatją. Do istot posiadających pełne jego zaufanie należała panna Natalja. Na Stanisława zapatrywał się obojętnie, a ten ze swojej strony znosił go o tyle, o ile zwykle tolerujemy zwierzęta naszych przyjaciół, albo przyjaciółek. Tolerancja ta bywa tem większą, im większą przyjaźń. Nie lubię np. pińczów, a jednak, przed laty, gdy byłem pełnym nadziei »abiturientem« gimnazjalnym, *znałem* pińcza, na którego widok serce mi omal nie wyskakiwało z kamizelki, w której oprócz niego był zegarek, widoma nagroda dobrze przebytej »matury.« Za nim bowiem, tj. za pińczem, a nie za zegarkiem, zwykła była pojawiać się na skręcie ścieżeczki pewna sukienka koloru *lilas*... ale było to bardzo dawno, i nie mówmy o tem. Dosyć, że kochałem niemal tego pińcza, a obecnie toleruję rozmaite mopsy, buldogi, wyżły i rattlery, ze względu na sympatję, jaką czuję dla ich panów — damskich tylko piesków już nie znoszę, bo są źle prowadzone i nie zwiastują już pojawienia się lilowej sukienki. Otóż uczucia, jakie Stanisław żywił ku Turpinowi, stały mniej

więcej na równi z mojemi obecnemi względami dla psiego rodu. Inaczej miała się rzecz z panną Natalją. Turpin był stanowczym jej faworytem. Wolno mu było wspinać się i opierać przedniemi łapami na jej ramionach — a był wzrostu średniego źrebięcia — wolno mu było ocierać czarny swój pysk o jej grecki nosek, wywracać ogonem jej doniczki z kwiatami, deptać po jej sukni albo układać się do snu opierając łeb na jej kolanach. Co więcej, zapewniała mię panna Siebenzwetschk-Szlachińska, z powodu zatargów Minionki z Fidusiem stanowcza wszelkich psów nieprzyjaciółka, a nie wielka wielbicielka panny Natalji, że Turpin obdarzony bywał czasem całusami; czemu wszakże nie wierzę. Wierzę natomiast mocno, że *jego* przychylność dla panny Kluszczyńskiej i dla całego domu sekretarza miała pobudki czysto gastronomiczne. Zdaje mi się wszakże, że powiedziałem już dosyć, ażeby wytłumaczyć, dla czego Turpin mógł być przeszkodą przy *tête-à tête* o którem mowa.

— Byłbym szczęśliwym, mówił Stanisław — usiłując nawiązać na nowo przerwaną przez przybycie dr. Mitręgi rozmowę — gdybym mógł mieć nadzieję, że pani doznajesz choć milionową część tej rozkoszy... to jest, chciałem powiedzieć, czegoś podobnego choćby z daleka do rozkoszy, jaką ja czuję...

— Turpin, moja śliczna *ciucia* chodź tu, Torpinciu! (Turpin wspina się, jak wyżej powiedziano, i degustuje językiem pudr ryżowy z jej liców.)

— Jaką ja czuję z powodu, iż pan sekretarz... iż ojciec kochanej mojej pani...

— Kochana ciucia! No, fe, nie lizać! A, piesek widzę głodny; pójdziemy do kuchni, pójdziemy! (Turpin daje dowód znanej psiej inteligencji, machając gwałtownie ogonem wobec tej obietnicy i przewracając taburet, na którym się znajduje kapelusz Stanisława; poczem podskakuje ku drzwiom, obracając głowę ku pannie Natalji i naszczekując z całej siły.)

— Widzisz pan, jaka to poczciwa psina, jak on mię rozumie! Zaraz służę, tylko powiem Marysi, żeby mu dała co na podwieczorek!

I wybiegła z pokoju, skacząc jak dziecko w zawody z Turpinem, którego głos dał się wkrótce słyszeć z coraz to odleglejszych części dworku pp. sekretarstwa.

Stanisławowi nie pozostało nic, jak tylko ustawić na nowo przewrócony taburet, podnieść z ziemi swój kapelusz i wygładzić go rękawem od surduta, dla zabicia czasu. Gdy i to nie pomogło, jął przypatrywać się z uwagą dużej litografji, przedstawiającej majora Bombogromskiego, nie w chwili, gdy mówi: *Zur Genesung!* ministrowi królestw Chaocji i Teremtecji, ale w chwili, gdy wytrzeszczył ogromne oczy z obawy, ażeby nie usnąć. I to wszakże zajęcie okazało się niedostatecznem, i bohater nasz znalazł się w pozycji, w której grzeczni ludzie nie zwykli zostawiać gościa. Nie miał po co zostawać w pokoju, gdzie go tak osamotniono, i nie mógł odejść, bo wypadało przecież pożegnać się z kimkolwiek, a tu tymczasem sekretarz miał widocznie jakąś konferencję o interesach z dr. Mitręgą i niewłaściwem było wchodzić do jego pokoju i przeszkadzać; pójść zaś do apartamentów kobiecych i pożegnać się z paniami, na toby mój bohater nigdy się nie odważył.

Sytuacja ta trwała dość długo, przeszło kwadrans, i wybawił z niej Wołodeckiego sekretarz, wchodząc do bawialnego pokoju bez dr. Mitręgi. Był znowu jakiś nie swój i roztargniony; widocznie sprawiło mu to ulgę, gdy Stanisław zamiast zaczynać jaką rozmowę przesłał tylko na jego ręce swoje uszanowanie paniom, pożegnał go i wyszedł, dodawszy tylko, że pozwoli sobie służyć państwu sekretarstwu jutro po południu.

Czytelnik i czytelniczka łaskawa mają prawo żądać od powieściopisarza, ażeby zdał sprawę z tego, co sobie bohater myślał wobec całego tego, po »deklaracji« niezbyt zwykłego stosunku, i wobec zbiegu opowiedzianych właśnie drobnych a jednak nieco dziwnych wypadków? Hm — mógłbym powiedzieć, że jak każdy człowiek pragnący złudzeń i lubiący żyć w złudzeniach, Stanisław bronił się jak mógł od rozczarowania. Ale to nie byłoby zgodnem z prawdą. Przyzwyczaił on się już był niemal do pewnej oziębłości ze strony swojej ubóstwionej. Czytał gdzieś, czy słyszał, że osoby wesołego i żywego temperamentu nie lubią okazywać na zewnątrz tkliwszych uczuć, chociaż je żywią w głębi duszy. Panna Natalja była widocznie żywego i wesołego temperamentu, skoro mogła jak mała dziewczynka bawić się z Turpinem — a więc, nie mogła lubić tkliwych scen, wylań serdecznych itd. Uścisnęła mu dłoń, to wystarczało — a pustota z Turpinem była tylko pretekstem, ażeby uniknąć gruchania i romansowania.

— Do którego zresztą zabrałem się jak student;—dodał w myśli. — Trzech słów nie umiałem powiedzieć tak, jak mi szły z serca, i gubiłem się w niezgrabnych frazesach, które brzmiały jak lekcja źle memorowana. Gdybym był na jej miejscu, zaśmiałbym się w oczy takiemu jak ja, Romeowi. Ale ona, dobra jak anioł, udała że bawi się z Turpinem, którego przecież na serjo lubić nie może. Nieznośny psisko, i gdyby nie był własnością Mitręgi, nie ścierpiałbym go w pokoju. A ją przecież Mitręga nic nie obchodzi — jest jej nawet wstrętnym, bo ją upokarza mój stosunek do niego. Hm, hm — jak by to zrobić, żeby nic a nic nie tknąć z tych jakichś pięćdziesięciutysięcy, o których mówił Kluszczyński?

Oto, co myślał moj bohater i jak dalekim był od obawy rozczarowania. Mniej tymczasem spokojnie, niż w jego duszy, odbywały się rzeczy w dworku, ktory opuścił.

Powiedziałem, że sekretarz wszedł był do bawialnego pokoju bez dr. Mitręgi. Stanisław przypuszczał, że Kluszczyński zostawił doktora w swoim pokoju, zajętego jakiemi rachunkami, planami, statutami itp. Tymczasem było inaczej. Dr. Mitręga usłyszawszy szczekanie swego psa, wyszedł był innemi drzwiami zobaczyć co się dzieje, i czyli Turpin, który czasami umiał być niebezpiecznym, nie wyrządza jakiej psoty — sekretarza zaś zostawił zajętego podpisywaniem obligów Banku Filodemicznego, które już miano puszczać w obieg i na każdym z których stało: Kluszczyński prezes; dr. Mitręga, naczelny dyrektor; Salewicz, kasjer. Wyszedłszy aż do sieni prowadzącej na podwórze za domem, dr. Mitręga zastał tam pannę Natalję z Turpinem, który na jego widok natychmiast się uciszył. Z rozmowy, która się wywiązała przy tej sposobności, wyjmuję ustęp następujący:

— Panno Nataljo! Miałożby być prawdą, miałożby w istocie, w istocie, być nieodwołalnem, co słyszałem przed chwilą z ust ojca pani?

Postawa i wyraz twarzy dr. Emanuela wyrażały w tej chwili boleść prawdziwie tragiczną.

— Pan Wołodecki, — odparła zastosowując się jakoś od razu do jego kamertonu i z drżeniem w cichym głosie — Wołodecki ma od dawna słowo mojego ojca.

— Ależ pani, pani — czy także dałaś mu słowo?

— Ja muszę... słuchać rodziców... ich wola... jest dla mnie świętą...

— To okropne! To... to... (chwytając się ręką za czoło)... ja tego nie przeżyję!

— Pan?!

Najdłuższe francuskie *a* z »daszkiem« nie byłoby wstanie zawrzeć w sobie tyle prawdziwego zdziwienia, udanego powątpiewania i źle ukrytego tryumfu, co to zwykłe *a* w tem słowie: pan?!

— Ja, ja pani! Ach, czyliż potrzebuję mówić, czyliż nie wiesz pani, nie odgadłaś oddawna, jak cię ubóstwiam, jak ginę, schnę za twoim widokiem, jak cię kocham!

— Słyszałam przecież raz coś o zerwanej róży i o innym kwiatku...

— Ach, nie bądź pani okrótną! Zerwałem, zerwałem, nie różę, ale wszystkie węzły, w które mię uwikłać chciano, bo odkąd cię poznałem, całem mojem marzeniem, jedyną moją myślą, ty jesteś, Nataljo!

Szanowna czytelniczka raczy za pomocą romansu jakiego wymowniejszego odemnie autora uzupełnić i upiększyć ten djalog ile możności gorącemi słowami miłości i rozpaczy, ja przytaczam tutaj główną treść tylko, bo mam głowę nabitą myślami dr. Mitręgi o Banku Filodemicznym i o niektórych innych rzeczach, później wchodzących w zakres tej powieści.

Trwało to akuratnie kwadrans, tj. tak długo, póki Stanisław nie wygładził w bawialnym pokoju swojego kapelusza i nie oglądnął fotografji majora Bombogromskiego, i póki sekretarz podpisawszy się pięćset razy prezesem, nie wyszedł wybawić go z tej sytuacji. Po upływie tego czasu, w owej sieni prowadzącej na podwórze, i w obecności Turpina, wyjaśniło się, że dr. Emeanuel Mitręga i panna Natatja Kluszczyńska kochają się miłością, jakiej nie znały najromantyczniejsze wieki, że kochać się będą dozgonnie, i że panna Natalja tego samego wieczora jeszcze upadnie do nóg rodzicom i będzi ich zaklinać,

ażeby cofnęli przyrzeczenie dane Wołodeckiemu, którego nigdy nie kochała, dla którego czuła tylko najzwyklejszą między ludźmi życzliwość, a któremu tylko w dziewiczej nieświadomości własnych uczuć i poniekąd pod wpływem matki, przyrzekła rękę.

Gdy dr. Mitręga z kolei pożegnał się z sekretarzem i odszedł, nastąpiły w dworku Kluszczyńskich sceny, które zwróciły na siebie uwagę sąsiadów w tak wysokim stopniu, że jako wiarygodny sprawozdawca nie mogę pominąć ich milczeniem. Żałuję tylko, że zeznania jedynego świadka, który wszystko słyszał, tj. Marysi, zbyt są bałamutnemi, by na nich polegać można. Z zeznań zaś wszystkich, zestawionych razem, wynika to jedno z pewnością, że w ożywionym bardzo djalogu, który nastąpił, dominował długo wyłącznie prawie głos panny Natalji, podniesiony do wysokiego wcale djapazonu; że następnie z płaczem, ale także bardzo stanowczo przemawiała pani sekretarzowa, o ile ją obok córki słyszeć było można; i że sekretarz mówił dość cicho, ale za to nakoniec ofunknął się bardzo głośno i jeszcze głośniej trzasnął drzwiami, potem już słyszano tylko szlochanie matki i córki.

Nazajutrz rano »panna« wysłała Marysię po posługacza publicznego, a w godzinę poźniej dr. Mitręga otrzymał bilet następującej treści:

»Jak przewidywałam, ojciec nie może się zdecydować na cofnięcie słowa, w nieszczęsnej chwili danego p. Wołodeckiemu, bo to nie zgadza się z jego zasadami. W takim tylko razie pozwoliłby na nasz związek, gdyby p. Wołodecki sam zwolnił go od tego interesu. N. K.«

Próbowałem parę razy skreślić, co »sobie myślał« Stanisław, spróbuję teraz oddać tu pokrótce myśli dr. Mitręgi, tak jak one grupowały się po otrzymaniu tego biletu.

Myślał więc szanowny doktor, że stan interesów jego jest rozpaczliwy, i że obligi Banku Filodemicznego mogą połatać go chwilowo, ale radykalnie naprawić ruin nie zdołają, bo przyszłość ich jest mniej świetną, niż sobie wyobrażał prezes i cała rada zarządzająca. Myślał o pewnych długach, które pozaciągał był tu i owdzie w ciągu swojej doktorskiej, politycznej i literackiej karjery, i które przedstawiały poważną sumę 25 do 30 tysięcy idealników. Myślał, że sekretarz — a obecnie prezes, Kluszczyński, da córce 100 tysięcy posagu, że ta córka jest wcale piękną osobą, którą już ciocia Swatalska poczęła poniekąd w świat wprowadzać, i z którą będzie można pokazać się u Oberkomisarza i u Oberszpitalnika, zwłaszcza pozbywszy się kawalerskiej dorożki ze szpakami a kupiwszy karetę i gniade meklenburgskie karosjery od hr. Spitzfindera, albo białe neapolitańczyki od barona Isztenadion. Ale myślał także, że Stanisław, mając tak fundamentalne słowo od pana Kluszczyńskiego, nie zwolni go od »interesu«, jak się wyrażała panna Natalja, zwłaszcza gdy dawała mu nad Kluszczyńskim przewagę jakaś tajemnica, której istnienia dr. Mitręga domyślał się z pewnych wskazówek, chociaż jeszcze jej nie znał.

W tym ostatnim kierunku, równie jak w wielu innych, nie mylił się szanowny doktor. Kluszczyński nie pragnął w duszy niczego mocniej, jak pozbyć się Wołodeckiego i mieć zięciem człowieka, który miał takie koneksje, który mu wróżył miljony, i który prawdopodobnie sam ma jaki taki mająteczek, a więc nie będzie zbyt nieużytym, gdy będzie mowa o posagu. Drżał atoli na samą myśl narażenia się Wołodeckiemu. Chociaż bowiem ten ostatni był jego zdaniem miękkiego ducha człowiekiem, to był w przyjaźni z Smiechowskim, a ten był wstanie pchnąć go do zemsty. Sprawa sakiewki z czerwieńcami była zbyt dawną i trudną do wyjaśnienia, ażeby mogła wiele szkodzić, ale ów nieszczęsny dokument! Prezes Banku Filodemicznego, opartego na uczuciu patryotycznem, pierwszy patryota w całym Wilkowie, napiętnowany publicznie jako denuncjant — to byłoby okropnem! Dlatego też pan Kluszczyński, lekceważąc swoją drogą napomnienia i przedstawienia żony, oświadczył córce kategorycznie, że nie zerwie ze Stanisławem, i że jej także zrywać z nim zakazuje, chybaby Wołodecki sam, dobrowolnie, miał się rozmyśleć i cofnąć.

Dr. Mitręga wahał się długo, jak się wziąć do rzeczy. Przypominał sobie wszystkie szczegóły, które mu mogły służyć za punkt oparcia do sądu o charakterze Stanisława. I — rzecz dziwna! Po długim namyśle nabył trafnego przekonania, że Stanisław zdolnym jest do ustępstwa, z przyjaźni, a pomylił się tylko co do natury tego ustępstwa, zdawało mu się bowiem rzeczą niewątpliwą, że chodzi tu głównie i wyłącznie o posag panny Natalji, a tylko przyzwoitość nakazuje mówić raczej o miłości.

Ułożywszy plan na tej zasadzie, około południa dr. Mitręga pojawił się w redakcji *Orędowniczki*. Zamknął się w osobnym pokoju ze Stanisławem. Przystąpił do niego uroczyście. Scisnął go serdecznie raz i drugi za rękę. Popatrzył mu głęboko w oczy smętnym jakimś i łzawym wzrokiem. Odstąpił parę kroków, siadł na krześle, zwiesił głowę na piersi i uderzając ręką o stół, rzekł ponurym głosem:

— Panie Stanisławie: musimy, i będziemy się strzelać! (C. d. n.)

---

## LISTY T. T. JEŻA.

*Odwiedziny Litwina — Interes — W jednej osobie anioł i szatan — Do Szwajcarji po rozwód — Błędne pojęcia. Rozprawa pana Barrilliet — Art. 56 prawa federalnego — Teorja a praktyka — Trudny warunek — Pana Bouffé »Mes Souvenirs. Człowiek a aktor. — Książka p. Ernesta Daudet — Pana A. Pontmartin »Nouveaux Samedis« — Nana partout — Sainte-Beuve — Moralność mała i wielka.*

Lat temu parę zaszczycił mnie odwiedzinami swojemi Litwin pewien — człowiek serdeczny jakiś. Byłem mu rad wielce: przemawiał do mnie „dobrodziejaszku," na sposób stary; opowiadał mi o różnicy, jaką spostrzega pomiędzy swoją krainą rodzinną a krainą Helwetów; okazywał zadziwienia dużo, i to zadziwienia *sui generis*, właściwego ludziom, co się w życiu po raz pierwszy w obcym znajdują kraju. Wziąłem go za jednego z takich, co to, posiadając nieco grosza zbywającego, obracają takowy na zwiedzenie świata. W sensie tym zapytanie mu zadałem i zdziwiłem się nie pomału, gdy gość mój oznajmił mi, iż z pod Kowna do Genewy odbył podróż umyślnie do mnie... „w interesie... w interesie, dobrodziejaszku," Tłumaczył następnie, że gdyby nie interes, byłby swego kraju nie opuszczał za żadne świata skarby, przedewszystkiem dla kosztów, jakie podróż pociąga za sobą, zwłaszcza, że jego kraj jest rajem istnym dla tych, co na małem poprzestawać umieją. Ciekaw byłem interesu; domyśleć się onego nie mogłem w dalszem opowiadaniu gościa mego o szczęściu, jakiego człowiek doznaje w miłości. O miłości mówił Litwin z zapałem, nacechowanym akcentem poetycznym. Niedomyślałem się — powiadam — w opowiadaniu tem interesu wówczas nawet, gdy gość mój jął się stosować ogólniki do osoby własnej, czyniąc ze mnie powiernika uczuć swoich, przyznając się przedemną, że się rozkochał — pokochał anioła, z którym złączył się węzłem małżeńskim. „A więc — rzekłem — szczęście pańskie jest zupełnem." — „Właśnie że nie..." — odpowiedział. — Czegoż on chce?... pomyślałem sobie. „Właśnie że nie, dobrodzieju mój — powtórzył Litwin — po ślubie bowiem pokazało się, że anioł ów był szatanem... istny szatan... i że czegoś bardziej szatańskiego, niż małżonka moja, wyobrazić sobie nie sposób"... Dawno państwo ślub wzięli? — zapytałem. — „Rok z górą i otóż pragnę zerwać węzeł, który mnie okajdania." — „Rozwód"... — wtrąciłem. — „W tym właśnie celu — podchwycił — do pana mego przybywam.. Poradź mi, dobrodzieju, jak się wziąść do tego... w Szwajcarji..." — Chodziło mu o informacje i o pomoc językową, był bowiem tego przekonania, że w Szwajcarji sprawy rozwodowe rozstrzygają się z łatwością jak największą. Wyprowadziłem go z błędu i nie wiem, co się z nim stało następnie.

Interes, jak powyższy, gdyby był wypadkiem pojedyńczym, ani bym o nim wspomniał. Ale powtarza się on od czasu do czasu. W ciągu lat siedmiu zamieszkiwania mego w Szwajcarji, otrzymałem w sprawach rozwodowych zgłoszeń się, bądź ustnych, bądź na piśmie, kilkanaście — i to nie z Cesarstwa, ale także z Królestwa, jedno ze Szląska. Wiem przytem, że i inni zamieszkujący Szwajcarję Polacy o tegoż rodzaju sprawy często zapytywani bywają. Dowodzi to, że u nas błędne w materji tej panuje pojęcie, a zatem wyprowadzenie z błędu jest obowiązkiem człowieka, przemawiającego do pubiiczności z kolumn pisma perjodycznego. Podejmuję przeto spełnienie obowiązku tego teraz, korzystając z okazji, jaką nadarza mi odnosząca się wprost do przedmiotu rozprawa prezydenta tryb., p. Barrilliet, pomieszczona w numerach majowych pisma *Semaine judiciaire*, p. t.: „Rozwód małżonków cudzoziemskich w Szwajcarji i małżonków szwajcarskich za granicą" *(Divorce des époux étrangers en Suisse et des époux suisses à l'étranger)*. Rozprawę tę w streszczeniu ogłosił *Journal de Genève* z dnia 27 maja 1880. Nr. 124. Zamieszcza on w kwestji tej informację jasną i dokładną.

*

Autor, p. B. zadaje sobie dwa pytania następujące:

1) Czy małżonkowie cudzoziemscy mają prawo wytaczania procesu o rozwód przed trybunałem szwajcarskim?

2) Czy małżonkowie szwajcarscy mogą do trybunałów zagranicznych wnosić żądania o rozwód?

Nas obchodzi pierwsze jeno, które wedle autora rozstrzyga stanowczo art. 56 prawa federalnego, wydanego pod d. 24. grudnia 1874 r., a brzmiącego jak następuje.

„Co się tyczy małżeństw pomiędzy cudzoziemcami, żadne podanie o rozwód nie może być przez trybunały przyjętem, jeśli nie jest dowiedzionem, że państwo, z którego małżonkowie pochodzą, uzna za wyrok, jaki wydanym będzie.“ Postanowienie to wymaga ze strony pozywających się małżonków złożenia w trybunale szwajcarskim wraz z pozwem, deklaracji formalnej tego państwa, którego małżonkowie poddanemi są, jako państwo owe uznaje z góry wyrok szwajcarski, jakikolwiek on będzie. Wypada ztąd, iż warunek deklaracji tej uniemożliwia absolutnie prawie dla cudzoziemców proces rozwodowy w Szwajcarji.

„Czyż można bowjem przypuszczać — powiada pan B. — ażeby rządy zagraniczne tak mało o własną zwierzchność sądowniczą dbały, ażeby udzielały naprzód exequatur wyrokowi, rozporządzenie którego nieznanem im jest?“ Prawnie przeto, w teorji, trybunały szwajcarskie upoważnionemi są do rozpatrywania spraw rozwodowych pomiędzy cudzoziemcami; w praktyce atoli domagają się przedewszystkiem deklaracji wyżej pomienionej od stron, które zwracają się do rządu własnego, ten zaś udziela odpowiedź domagającą się wyroku szwajcarskiego, nie mogąc takowego przyjmować na oślep. Trudno przypuszczać odpowiedź inną — praktyka sądowa innej nie zna. Wypada ztąd, że współrodacy i współrodaczki moje, którym dolega węzeł małżeński, naprożno, z myślą zerwania onego, wzrok tęskny ku Szwajcarji zwracają.

Doświadczenie moje ku innej się zwraca materji, mianowicie zaś, ku materji książek do czytania, których kilka leży przedemną i pomiędzy któremi jedna przydać by się mogła zarówno stadłom małżeńskim i artystom dramatycznym, malując żywot poczciwego syna, wzorowego małżonka, dobrego ojca i doskonałego aktora. Osobliwą tą osobistością jest p. Bouffé, znany na scenach paryskich: *Nouveautés, Gymnase, Variétés* i innych. Malarzem żywota jest on sam. Książka nosi tytuł „Wspomnienia moje“ *(Mes souvenirs*, 1800—1880, Paris u Dentu). Bouffé przedstawia w niej siebie jako człowieka i jako aktora; dwoistość ta rozwijała się w nim harmonijnie; na wstępie w życiu złocił ramy i produkował się w rolach komicznych na jednym z teatrzyków podrzędnych, prowadząc dwa równocześnie rzemiosła; zrazu szło mu ciężko, z kamienia niby, — z czasem coraz to lżej, aż pozłotnictwo porzucił dla sceny, na której pozostawał lat trzydzieści i sześć, zbierając garściami całemi laury i franki, i nie przestając ani na chwilę mieć swego *at home*, gdzie się oddawał całkowicie życiu rodzinnemu. Do „Wsppomnień“ wstęp dorobił akademik, E. Légouvé, i w nim zaznaczył zasługującą na uwagę osobliwość, że Bouffemu trudno było na drogę sławy wejść, ale bez porównania mu było trudniej zejść z takowej. Przeciąg czasu pomiędzy śmiercią artysty a śmiercią człowieka jest momentem bardzo trudnym dla osobnika, nawykłego do oklasków i wieńców. Praca literacka ex-komika nastręcza dla psychologa postrzeżeń nie mało.

Drugą książką na wspomnienie zasługującą są także „Wspomnienia“ *(Souvenirs de la présidence dn Marechal de Mac-Mahon)* p. Ernesta Daudet. Zaleca je nazwisko autora, lekkość stylu, płytkość spostrzeżeń i znotowanie dat historycznych, odnoszących się do wypadków, świadkami których byliśmy wszyscy. Z zajęciem czyta się rozdział pod tytułem: Polityka francuska na Wschodzie i początek wojny turecko-rosyjskiej.“ Firma dobra, wyrób fabryczny: zalety te nie zapewniają pracy piśmienniczej sławy w pokoleniach potomnych, to jednak sprawiają, że się książka czyta z przyjemnością.

Toż samo powiedzieć można o dziewiętnastej serji „Nowych Sobót“ *(Nouveaux Samedis)* pana A. Pontmartin. Firma dobra, wyrób fabryczny. Z przyjemnością czyta się, co autor pisze o ludziach i książkach (Kamil Rousset, Rzeka błękitna, Emil Ollivier, etc.), nic zgadzając się nawet z zapatrywaniami się jego i sądami. Zręcznie udało mu się w rozdziale ostatnim, p. t. »*Nana-partout*« podjąć i wykazać reklamę, popularyzującą nazwisko autora Nany. Przypomina on dni 14, 15 i 16 października 1879 roku, pamiętne we Francji, która naraz olśnioną i zagłuszoną zosta afiszami sążniowemi i wrzawą kolporterską. „Weźcie razem — powiada p. A. Pontm. — Homera, Wirgiliusza, Danta, Szekspira, Corneilla, Moliera, Goetego, Byrona, Walter Skotta, Georges Sanda, Paul de Kocka, Mangina, Ponson du Terraila, pana Lecoq i wszystkich dentystów amerykańskich, a odważam się utrzymywać, że wielcy ci ludzie złożywszy się, nie zgromadzili około imion i dzieł swoich tyle zgłosek i liter wielkich,ile w ciągu tych dni trzech skonsumowały imię i tytuł kabalistyczny: *Zola-Nana!*« Ciekawym też jest rozdział, poświęcony pracy sekretarza Sainte-Beuva, w której krytyk ten wykazanym jest w życiu prywatnem, w stosunkach poufnych, ze strony nie przynoszącej mu zaszczytu wiele. P. A. Pontm. korzysta z tego i polemizuje z nieboszczykiem ze stanowiska moralności, zestawiając „moralność małą,“ praktykowaną przez siebie, z „wielką,“ którą wyznawał autor „Poniedziałków.“ Zestawienie to — rzecz naturalna — nie wychodzi na korzyść Sainte-Beuva.

---

## KRONIKA NAUKOWA

przez

BRUNONA ABAKANOWICZA.

(Wpływ elektryczności na rośliny. Doświadczenie Siemensa. Zastosowanie w ogrodnictwie. Nowe materjały: celluloid.)

W życiu roślin jedną z ról najgłówniejszych, koniecznym warunkiem rozwoju i istnienia, jest światło dzienne.

Podróżnicy w okolicach podbiegunowych, zauważali już dawno, że rośliny, potrzebujące na południu kilka miesięcy do zupełnego swego rozwoju, tam właściwie, na dalekiej północy, rosną nadzwyczaj szybko i w kilku tygodniach dochodzą do kwiatu i owocu. Wpływają na to przeważnie jasne noce, w których słońce nie zachodzi prawie wcale, i ciągle rzuca na rośliny ożywcze swe promienie. Nie trzeba nawet iść tak daleko, aż w okolice podbiegunowe, żeby się przekonać o tem zjawisku. W Norwegji północnej, rośliny rosną latem także z zadziwiającą szybkością, bo i tam dzień letni trwa od 16-stu do 20-tu godzin. Reszta doby jest tylko zmrokiem.

Z faktów godnych uwagi zanotować należy, iż pewien gatunek zboża, kultywowany w Kanadzie, gdy został zasiany w stanie Kentucky, nie mógł dojrzeć, chociaż ciepła pora w tym stanie trwa o kilka tygodni dłużej niż w Kanadzie; ale za to w tej prowincji dłuższe są dni i prędszy rozwój zboża.

Zauważano także, że roślinność nie tylko szybko wzrasta od światła dziennego, lecz i od światła, biorącego swe źródło także w słońcu, lecz odbitego za pomocą tarczy księżycowej. Jest to powszechnie uznaną rzeczą, że jasne księżycowe noce, wplywają korzystnie na rośliny.

Niedawno temu, dr. Siemens podał nowy i niezmiernie ciekawy przyczynek, do poznania wpływu światła na świat roślinny; próbował on wpływu światła elektrycznego. Na jednem z niedawnych posiedzeń Londyńskiego towarzystwa nauk (Royal Society), uczony ten przedstawił rezultaty, do których doszedł.

Oto w streszczeniu metoda jego badań.

Zasadzał w wazonikach rozmaite, szybko rosnące rośliny jak ogórki, rzerzuchę, gorczycę i t. p. Wazoniki dzielił na cztery grupy, z których jedna pozostawioną była w zupełnej ciemności, druga wystawiona jedynie tylko na działanie światła elektrycznego, trzecia na działanie światła dziennego, a czwarta obu świateł na przemian.

Światło elektryczne działało co wieczór sześć godzin z rzędu, od 5-tej do 11 w nocy. Przez resztę nocy, rośliny były pogrążone w ciemności. Rezultat zaś był taki:

Rośliny utrzymywane w zupełnej ciemności prędko zamierały.

Te z nich, które były wystawione albo jedynie na światło elektryczne, albo też wyłącznie na światło dzienne, rozwijały się prawie zupełnie jednakowo.

Te zaś, które na przemian wystawione były na działanie obu rodzajów świateł znacznie lepiej się rozrastały i rozwijały. Na posiedzeniu Royal Society, było to widać na okazach, które dr. Siemens pokazywał. Wnioski jakie ten uczony z tych doświadczeń wyprowadza, są następujące:

1. Światło elektryczne jest bardzo skutecznem w tworzeniu chlorofilu w liściach roślin i w przyspieszaniu wzrostu.

2. Że ognisko światła elektrycznego, o sile 1 400 świec, umieszczone w odległości dwóch metrów od rośliny, odpowiada mniej więcej w swych skutkach, zwykłemu dziennemu światłu, lecz że można utrzymać daleko ekonomiczniejsze rezultaty używając ognisk potężniejszych.

3. Że gazy wywiązujące się w drobnej ilości ze spalenia się węgli w lampie elektrycznej, nie szkodzą wcale roślinom.

4. Że rośliny nie potrzebują nocnego spoczynku, lecz owszem jeżli im zamiast nocy, da się dzień, to rozwijają się zdrowo i silnie.

5. Że ciepło promieniejące z łuku światła elektrycznego, może przeciwdziałać chłodowi nocnemu i w ten sposób sprzyjać dojrzewaniu owoców i rozrostowi.

6. Że wydatek, na tego rodzaju przyspieszanie życia i rozwoju roślin, zależy jedynie pra-

wie od rodzaju siły użytej do pędzenia machin, prąd elektryczny wywiązujących. Jeżli są naturalne źródła siły, jak n. p. spadek znaczny wody, to wtedy tego rodzaju *elektrohortykultura* może mieć rację bytu.

Uderzającem było doświadczenie, pokazane przez dr. Siemensa na tem posiedzeniu towarzystwa naukowego. Ustawił on wazon z tulipanem, którego kwiat był dopiero w pączku, w silnych promieniach światła elektrycznego. W czterdziestu minutach, w oczach publiczności, tulipan rozkwitł i rozwinął swój kielich zupełnie.

Może z czasem doczekamy się cieplarni, które całemi nocami będą oświetlone elektrycznie, i będą nam dostarczały kwiatów i owoców w dwa razy krótszym czasie, niż się to dzieje obecnie.

* * *

Na dorocznem posiedzeniu towarzystwa telegraficznego w Londynie znany fizyk i elektryk W. H. *Preece,* mówiąc o tegorocznych postępach światła elektrycznego, przytoczył tam kilka uwag o stosunku oświetlenia tego rodzaju, do oświetlenia gazowego, które rzecz tę jasno przedstawiają. Preece powiada, że światło elektryczne zrobiło w ubiegłym roku nadzwyczaj wielkie postępy. Nigdy jeszcze nie zastosowywano je na tak wielką skalę. A jednak, powiedzieć jeszcze można, że dotąd, nie wynaleziono zupełnie odpowiedniej lampy. Najważniejszym postępem jest to, że teraz już światło lampy elektrycznej trwać może długo i jest zupełnie prawie stałem, nie migającem się.

Co do źródła elektryczności, co do maszyn prąd wydających, nie wiele już można zrobić postępu, bo maszyny Siemensa i Gramma zamieniają 90 procentów siły mechanicznej użytej do ich pędzenia, na elektryczność.

Najwięcej rozpowszechniło się oświetlenie elektrycznością na okrętach i oddaje ono tam wielkie usługi. Szczególniej okazało się praktycznem przy zakładaniu i reparacji nocnej lin telegraficznych podmorskich.

Jeśli w bliskim czasie światło elektryczne zdobędzie sobie powszechne zastosowanie, to jednak nie zdoła ono gazu wycisnąć z użytku. Dla zwykłego gazu do oświetlenia, zostanie inne pole do zastosowania, a mianowicie będzie on używanym tam, gdzie chodzi o wywiązanie ciepła. Jeżeli bowiem weźmiemy pod uwagę 100 części gazu, to 94 z nich zużywają się przy paleniu na wywiązanie ciepła a tylko 6% idzie na wywiązanie światła. Dziwną jest rzeczą, że mimo tak wyraźnej wskazówki, do czego gaz może być głównie używanym, nie wyzyskano dostatecznie tej jego dobrej strony. Przyczyna tego leży głównie w tem, iż publiczność nie zna dobrze własności gazu.

Nawet u nas, chociaż gaz jest trzy razy prawie droższym jak we Francji, np. zastosowanie jego do ogrzewania, mogłoby przedstawiać pewne korzyści.

* * *

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech naszego stulecia jest, że wszyscy wynalazcy dążą do zastępywania surowych płodów, dostarczanych zwykle przez zwierzęta i rośliny, wyrobami czysto fabrycznej natury. Sztuka coraz bardziej zastępuje przyrodę. Chemja nauczyła nas robić perfumy roślinne i zwierzęce, fabrykować sztuczne drogie kamienie, naśladować szlachetne metale prawie do niepoznania; lecz niestety postęp ten korzystny i pożyteczny na pewnych polach, wkradł się także i do rzeczy codziennego użytku, szczególniej fałszerstwo pokarmów i napojów, przybrało olbrzymie rozmiary.

Dziś już daleko mniej niż dawniej tępią wielorybów, aby z nich tak zwany róg, fiszbin, wydobyć, bo sztucznie można go zastąpić. Koralowe zwierzokrzewy nie są już tak jak dawniej wyszukiwane i wyniszczane. Żółwie morskie, dające tak zwany szyldkret, mogą być zaoszczędzane. Strusie mogą także żyć swobodnie, bo teraz tak naśladują ich pióra, że od prawdziwych odróżnić prawie nie można. Nawet słonie nie potrzebują być zabijane, aby im kły zabierać, i lepiej zużytkowywać je ułaskawiając do pracy w polach i do transportu.

Dzisiaj nie potrzeba latać po morzach i błąkać się ze strzelbą po zwrotnikowych lasach, żeby sobie zdobyć wyliczone wyżej produkty. Zakłada się po prostu fabryka i wszystko to sztucznie się wyrabia.

Kość słoniowa np. bardzo dobrze się obecnie naśladuje, za pomocą tak zwanego *celluloida.* Jest to materjał, który niedawno został wynaleziony, a który ogromnych doczekał się już zastosowań. Celluloid robi się z bawełny strzelniczej, rozpuszczając ją w odpowiednich płynach w obecności kamfory i poddając działaniu ciepła oraz ciśnienia.

Przy dodaniu odpowiedniego barwnika, celluloid tak naśladuje kość słoniową, że trzeba dobrze się przypatrywać, aby się przekonać o różnicy. Dzisiaj na Zachodzie używają takiej sztucznej kości wszędzie tam, gdzie dawniej kości prawdziwej używano, a gdzie chodziło o zniżenie ceny. I tak np. kule bilardowe fabrykują się z celluloidu na wielką skalę. Klawisze do fortepianów i organów, oprawy lornetek teatralnych, rączki do sztućców, wyrabiają się z takiej masy. Nad kością słoniową ma celluloid tę przewagę, że się daje wgniatać w formy dowolne i najdelikatniejsze rzeczy mogą być zeń odciskane. Barwy można dawać najrozmaitsze, dodając rozmaitych barwników. I tak np. koral, malachit, szyldkret naśladują się do niepoznania.

## Kronika Tygodniowa.

*(W)* Musimy kronikę naszą zacząć od wielkiej polityki — Moskale urządzają w Petersburgu Towarzystwo Pokoju, i to z upoważnienia i za wiedzą rządu. Nie wiadomo czy się śmiać, czy też oczekiwać jakiejś niespodzianki politycznej, czytając sprawozdanie z pierwszego posiedzenia tej pokojowej komedji. Przypomina ona ową bajeczkę o lisie, który namawiał wiewiórkę, aby zeszła z drzewa pobawić się w sposób pokojowy z panem proponującym z tej zasady, że już wszystkie zwierzęta ziemi zawarły między sobą wieczny rozejm... Dobrze, odpowiada wiewiórka, schodzę natychmiast, bo właśnie zdąża w tę stronę chart, aby przyjąć udział w naszej zabawie... Atoli pan lis, zamiast oczekiwać charta, wziął nogi za pas i zmyka... A czegoż tak uciekasz, przyjacielu, stój, pokój zawarty... Bo widzisz, przyjacielu — odpowiada jej z pośpiechem — być może chart jeszcze o tej nowości nie zawiadomiony...

Otóż, jak się zdaje, Moskale przez usta pana Jominiego chcą tu odegrać rolę lisa, lecz kto ma być ową wiewiórką i chartem — niedługo zapewne się dowiemy. Tymczasem dla wprowadzenia w czyn pokojowych teorji, wybiera się do nas na ekskursję słowiańską pan Aksakow i Iłowajski. Mężowie ci niby drugi Cyryl i Metodjusz mają nieść światło caryzmu austrjackiej Słowiańszczyźnie, i to właśnie w tę porę, gdy Jego Ekscelencja Namiestnik uważał, że zadaleko zabrnęliśmy w oświacie ludowej, i że czas byłby nieco się na tym wybujałym punkcie cywilizacyjnym zatrzymać. Słowianofile moskiewscy umieją wybrać czas odpowiedni do swoich wycieczek, kwestja tylko, czy Rząd Jego Cesarsko Apostolskiej Mości zechce w imię powszechnego pokoju wpuścić w granice swego państwa tych apostołów jedności słowiańskiej pod godłem „Nahajki“.

U nas we Lwowie przez cały tydzień nie mówiono o niczem, jak tylko o dwóch posłach, których sąd tutejszy ma chęć pociągnąć do odpowiedzialności z tytułu upadłości byłej fabryki czerlańskiej, i w tym celu zażądał upoważnienia od Sejmu. Zrobił się z tego powodu skandal, o którym piszą i telegrafują ztąd do gazet wiedeńskich, a ktoś tam się cieszy i ręce zaciera, że cios uderzył w samą porę i z takim rozgłosem.

Wobec tedy tak głośnego faktu, o którym cały Lwów debatuje, cóż znaczy nieudanie się niedzielnego festynu na strzelnicy. Powiadają, że było wiele osób, a mimo to okazał się deficyt i skóra nie opłaciła wyprawy. Rzeczywiście takiego rodzaju zabawy już dobrze przejadły się Lwowianom. My nie liczymy się do stronnictwa ultra konserwatywnego i chcielibyśmy przynajmniej parę razy na dzień mieć coraz nowsze niespodzianki, a nie odgrzewane rzeczy z roku na rok. — Ot naprzykład kasyno literacko-artystyczne może mieć powodzenie, bo wszyscy są zaciekawieni, jak też to bawią się ludzie przodujący w dziedzinie gustu i smaku. W niedzielę ma się zebrać w sali ratuszowej pierwsze walne zebranie tego Towarzystwa. Zapowiadamy, że będzie ciekawe, i namawiamy wszystkie czytające panie, aby wyprawiły mężów, zaproszonych na ową radę. Trzeba przyznać, że dziś tylko jeszcze literaci i artyści prawdziwie ochoczo bawić się umieją, więc warto spróbować, a być może Lwów odzyska znów dawną nazwę wesołego miasta i rozrusza się trochę, co rzeczywiście byłoby na dobie, bo mówiąc otwarcie, zaczyna być już nudnie. Nawet Sejm, ten od dwóch lat niewidziany Sejm galicyjski, jakoś nie może obudzić żywszego interesu. Odczyty sprawozdań idą leniwo, posłowie się nie sprzeczają, urlopów nawet nie biorą, rozprawy idą bez werwy, nikt jeszcze nie został ani upominany, ani wzywany do porządku, kluby miały się potworzyć, a nic o nich nie słychać — jednem słowem panuje tak wzorowa wszędzie zgodność i harmonja, iż dziwić się trzeba, że nikt w tym tygodniu ze splenu się nie powiesił.

* * *

*(B)* Od kilku dni wystawa nasza wzbogaconą została najświeższem dziełem *H. Rodakowskiego.* Jest to portret byłego marszałka krajowego Włodz. hr. Dieduszyckiego. Charakterystyczną postać hrabiego uchwycił artysta z nie-

opisaną potęgą i siłą. Przepyszny atłasowy żupan wraz z narzuconą nań delją, nadają portretowi pełnię szerokiego, monumentalnego charakteru. Głowa pełna charakterystyki i wyrazu, mistrzowska. Jest tam jednak maleńkie ale: oto plastyka twarzy, siła kolorytu, słabną przy sile amarantowego żupana. Każde z osobna t. j. głowa lub kadłub, stanowią każde dla siebie, skończone arcydzieło, w całości jednak niejaki brak harmonji nieco uczuwać się daje. Brak miejsca nie pozwala nam dłużej zatrzymywać się przy tym znakomitym dziele; oddawszy mu pierwszorzędne miejsce w dzisiejszem sprawozdaniu, pozwolimy sobie na inne nowości uwagę czytelnika zwrócić. Mówiąc o portretach, nie wolno nam pominąć płócien p. *A. Grabowskiego;* a jest tam ich dwa. Oba celują świetną karnacją, dziwnie świeżym i naturalnym kolorytem. W skromnym miejscu, omal że nie w kąciku ustawiono pyszną główkę, pełną życia i znakomitej techniki p. *Merwarda.* Płodny a pełen talentu artysta p. *Grabiński* wystawił kilka widoków, z których „Przy młynie“ szczególną prawdą i kolorytem się odznacza. Dział rzeźby na wystawie naszej obległo grono zapalonych amatorów i amatorek walczących o lepsze. Na tej walce, najgorzej ponoś wyjdą nasi pp. artyści, dla których niezawodnie nie długo i miejsca już odpowiedniego nie stanie. Tak przynajmniej przypuszczać można patrząc w okolicę prac ś. p. E. Jaskólskiego i Wiśniowieckiego. Są to wprawdzie tylko akademickie prace, wytrzymają one jednak tę niebezpieczną konkurencję.

* * *

(A) Podsłuchane w bufecie sejmowym.

— Powiedz mi pan — powiada jeden z młodych Ateńczyków — czem sejm nasz stoi wyżej od izby deputowanych francuskiej?

Zagadnięty w ten sposób poważny obywatel, piastujący godność poselską od niepamiętnych czasów, odpowiedział spokojnie:

— Nie, nie wiem, panie dzieju.

— Powagą, spokojem i umiarkowaniem... — brzmiała odpowiedź.

Przypomina nam to anegdotkę z życia jednego z naszych młodych wieszczów, uderzającego od czasu do czasu w struny lutni i wierzącego jak najmocniej w to, iż jest co najmniej półbożkiem.

Było to na balu dawanym na cześć pewnej znakomitości, która do Lwowa przyjechała. Wieszcz zadumany przechadzał się wśród wirujących tłumów. Nareszcie spotkał jednego z dawnych przyjaciół; przywitali się i szli dalej w milczeniu. Po chwili spojrzał przyjacielowi w oczy i powiada:

— Wiesz Stasiu, czem ja jestem wyższym od Mickiewicza?

— Nie, niewiem:..

— Pokorą!

*Mutatis mutandis* powinowactwo między obu przytoczonemi wyżej rozmowami, jest dosyć wielkie.

Ogólne zajęcie budzą nowe kluby, które się w łonie sejmu potworzyły. Ateńczycy szczególniej jako gałęź nowa i jeszcze mało w boju wypróbowana, intrygują publiczność. Dlaczego *Ateńczycy?* Czy mają oni reprezentować ateńskie krasomówstwo, zamiłowanie do sztuk, pieśni, wina i .. kobiet o pięknych kształtach, wyostrzonym języczku, łaskawem sercu i filozoficznej główce? Nie, zaprawdę. Nazwę wzięto od jednego z najwybitniejszych członków klubu, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, autora „Aten“, który o ile nam się zdaje, atenizm z jego inwentarzem ceni więcej jako zabytek pięknego klasycyzmu, jako piękną kartę dziejów sztuki i pomimo adoracji, nie chciałby wznawiać dawnego żywota.

My nie jesteśmy już „w tak klasycznym guście“ jak Grecy.

Daleko bardziej do smaku przypada nam stronnictwo t. z. szafrańców. Jest ono w nowszym „guście“, ostatnim wyrazem mody i powinnoby było przecież cokolwiek więcej dawać znać o sobie, gwoli zaznaczeniu własnej potęgi.

Zresztą rzeczy te bardziej się wyklarują, gdy izba naszych deputowanych, przewyższająca francuską swą „powagą, spokojem i umiarkowaniem“ zasiędzie w nowej sali nowego gmachu, i promienie światła elektrycznego, całą swą siłą oświecać będą poselskie głowy.

Że też komitet budowy pomyślał o zaprowadzeniu tam światła elektrycznego, to daje nam do myślenia. Czy wiedział już może o działaniu tego rodzaju światła na istoty organiczne? Czy skomunikował się z dr. Siemensem, który prowadził te badania? Może miał na myśli owo doświadczenie z tulipanem, który był wniesiony do sali elektrycznie oświetlonej, jeszcze dopiero jako pączek młodziutki. A patrzcie oto! po czterdziestu minutach tulipan otworzył swój barwny kielich, taką moc życie wywołującą mają te promienie elektryczne. Może komitet budowy chce w ten sposób przyśpieszyć rozwój młodych pączków poselskich, a kwiaty jak najprędzej zmusić do wydania owoców? Siemens także zauważył, że dojrzewanie daleko prędzej się odbywa przy użyciu światła elektrycznego. Może też komitet i na tę okoliczność miał wzgląd przy swej elektrycznej propozycji? Dojście do dojrzałości jest rzeczą bardzo pożądaną. Chyba tylko panie mogłyby mieć coś przeciwko temu i zabraniać mężom uczęszczania na wieczorne posiedzenia.

Dziwnie szybkim krokiem idą naprzód wynalazki naszego stulecia i ich praktyczne zastosowania. Wygląda to tak, jakby powieści Verne'a stawały się rzeczywistością. Dynamit coraz ogólniej bywa używanym. Może do sejmów zastosowywać będą niedługo metodę używaną przez dra Oxa, do ożywienia Flamandczyków ospałych, który puszczał na miasto tlen i tym sposobem najspokojniejszych w świecie ludzi zamieniał na zapaleńców i fantastów? Albo też może próbować będą światła różnej barwy, według metody jakiegoś doktora włoskiego, który wynalazł, że melancholistów leczy światło fioletowe, hipochondryków niebieskie, bałamutnych w mowie zielone a szałem miłosnym ogarniętych pomarańczowe?

Kto to wie, do czego jeszcze dójdziemy!

## TEATR.

*Szambelani komedja w 4. aktach W. Wdowiszewskiego.*

O tej sztuce, jako o nowości literackiej wszystkie pisma zamieściły już sprawozdania, i zrobilibyśmy na serjo wielką uciechę naszym czytelnikom, gdybyśmy chcieli zestawić kilka z nich obok siebie. Od czasów wystawienia *Zabiegów* nie widzieliśmy podobnego galimatjasu Głoszono wręcz przeciwne zdania. Nawet doszła ta rzecz do tego stopnia, iż w jednem i tem samem piśmie redakcja kłóciła się w przypiskach z recenzentem! Jeżeli widząc tego rodzaju krytykę publiczność nie nabierze do niej wstrętu i nie będzie wzruszała ramionami, to w takim razie, na lepszą nawet nie zasługuje.

Autor Szambelanów znanym jest publiczności z dwóch innych sztuk wystawionych w przeciągu paru lat ostatnich na lwowskiej scenie: *Henryka Bodmera* i *Takich więcej.* I jedna i druga pisane były z widocznym talentem, znać było w autorze inteligentnego człowieka, zdającego sobie dokładnie sprawę z celu, do którego zmierza, lecz tendencyjność nadto jaskrawie ze sztuk tych bijąca, podana w sposób zbyt jawny, przygnębiała artystyczną stronę rzeczy. Dowodząc pożyteczności pewnych teorji społecznych, lub broniąc też filozoficznych, wpaść się musi kokiecznie w nastrój katechizmowy, jeśli się jeszcze nie włada wytrawnem i mistrzowskiem piórem. Akcja sama nie wystarcza na dowodzenie, potrzeba używać tyrad objaśniających, które łamią ciągle naturalny rozwój sztuki i oddziaływają nużąco. Mówimy to głównie o *Henryku Bodmerze,* bo *Takich więcej,* komedja popularna przeznaczona głównie dla sfer rzemieślniczych, z trudnością mogła być w inny sposób traktowaną.

*Szambelani,* cokolwiekbądź im zarzucić można, są wobec sztuk dawnych znakomitym postępem. Tendencyjność jakkolwiek psująca ogólną harmonję, daleko już mniej jednak razi, bo więcej wypływa ona z tego co postacie przez autora stworzone robią, niż z tego co mówią, jak to w dawniejszych sztukach było. Lecz w Szambelanach artystyczna strona rzeczy daleko stoi wyżej, intryga zręcznie jest zawiązaną i rozwiązaną, parę charakterów jest przepysznie nakreślonych i ostatecznie wychodzi się z przedstawienia z zadowoloną fantazją i usposobieniem.

Akcja obraca się w kołach półpanków wiejskich. Wysuwają się naprzód figury kilku szambelanów częścią ze starszej szlachty pochodzących, częścią wesołych paniczów, którzy na posadzkach dworskich zdobyli tytuły, częścią dorobkiewiczów goniących za względami i wpływami, a częścią poczciwych mosterdziejów, których przyżenienie się do jasnej pani pociągnęło za sobą wyrobienie szambelaństwa papiezkiego „mniejszego gatunku.“ Główna figura z nich Drobiński, szlachcic z rodu, podupadły majątkowo w skutek fochów żony, typ reprezentujący upadek moralny szlachty pewnych sfer, charakter marny i niski, jest silnie zamarkowanym i około rodzinnego gniazda tego panka, około jego finansowego stanu, w łonie ludzi najbliższą z nim styczność mających, jak rządcy, adwokatów, starającego się o córkę szambelana, urzędnika Młyńskiego, zawiązuje się intryga, którą opisywać nie będziemy a która aż do końca sztuki trzyma uwagę słuchaczy w natężeniu. W tej chwili właśnie odbywa się w okręgu Drobińskiego akcja wyborcza, która jakkolwiek na scenie małą gra rolę, jednak służy autorowi do uzupełnienia charakterów osób działających, daniem im możliwości wypowiedzenia swych poglądów o sprawach szerszego ustroju kraj obchodzących Najznakomiciej jest przeprowadzonym charakter młodego adwokata Jaźwickiego, który trzyma w ręku swojem całą prawie akcję i jest tak starannie wycieniowanym, że nim poszczycić by się mogli najlepsi komedjopisarze. Jest w tej postaci tyle werwy, tyle powagi, że jej ukazanie się na scenie zapewnia odrazu ogólne zainteresowanie się słuchaczy. Zgrabny, pełen życia, dowcipu i elegancji djalog z wesołem dziewczęciem Henryką, córką Drobińskiego, ciągnący się z małemi przerwami od początku do końca sztuki, przyczynia się w wysokim stopniu do ożywienia komedji i podniesienia jej wartości artystycznej. Wartość moralną ma przedewszystkiem rządca Korab reprezentujący odrodzenie się upadłego panicza przez pracę. Korab ten pod koniec sztuki wypływa jako osoba pierwszorzędna i czyni to, iż po dość przygnębiającem wrażeniu aktów prawnych, gdzie ujemne przeważnie postacie rozgrywają się między sobą, ostatni ten ton minorowy, rozpływa się w harmonijnej sielance na „Leśniczówce“ i widz odchodzi z przyjemnem, swojskiem uczuciem z teatru.

Słabą stroną komedji jest akt drugi, w którym na balu wszystkie osoby plątać się zaczynają

w sieci intryg różnego rodzaju. Jest on tak rozstrzelonym i niejasnym, że ciągle zagadki ma się przed sobą do rozwiązywania. Przesuwają się sceny jedna za drugą, nie mające z sobą związku, nie wyjaśniające stopniowo ogólnego położenia rzeczy; akt ten wymagałby koniecznej przeróbki. Do stron ujemnych zaliczyć także należy zbyt silne i grube zarysowanie charakteru Młyńskiego. Postać ta za jawnie jest głupią, aby mogła gdziekolwiek, jakiekolwiek zajmować stnowisko i właśnie wskutek tej nędzy umysłowej i moralnej cała akcja spowodowana przez Młyńskiego jest zbyt obfitą w grube efekty psujące harmonją sztuki. Nieprawdopodobieństwo tej postaci jest zbyt rażące. Usunąć by także ze sztuki wypadało pozostałości dawniejszych sympatji do tyrad moralnych, które robią wrażenie takie, jakby brak akcji trzeba było uzupełnić opowiadaniami.

W każdym razie jednak „Szambelani“ wychodzą z szeregu rzeczy powszedni h i bodaj następna sztuka p. W. którą na scenie naszej ujrzymy, była takim postępem w obec „Szambelanów,“ jak ci ostatni wobec „Henryka Bodmera.“

# Wiadomości z kraju i ze świata.

## Literatura.

*** Kazimierza Stadnickiego rozprawa historyczna „O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce“, w tych dniach ukazała się w handlu księgarskim.

*** Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszedł z druku obraz dramatyczny z pierwszej połowy XI. wieku, p. t. „Starżowie“, napisany wierszem przez Agnieszkę Baranowską.

*** Dr. Klemens Hankiewicz, sekretarz uniwersytetu w Czerniowcach, autor cennej pracy p. t.: „Grundzüge der slavischen Philosophie“, przygotowuje obecnie również po niemiecku rozprawę „O nowych dążnościach filozoficznych u narodów słowiańskich.“

*** Walery Przyborowski napisał nową powieść historyczną z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta: „Chamska dusza.“

*** Wyszła z pod prasy książeczka Jana Mrówki (Jeleńskiego) p. t. „Narada z Kubą jakby sobie radzić bez żydów.“

W formie popularnej autor rozwija znane swe poglądy na kwestję żydowską.

*** „Pani Ambasadorowa“, najnowsza powieść znanego a pełnego talentu pisarza niemieckiego Ferdynanda Uhla, osnuta na tle dziejów naszych, znalazła tłómacza w panu T. C. i pomieszczoną będzie w jednem z czasopism warszawskich.

*** W lipskiej „Bibliothek der Unterhaltung und des Wissens“ za miesiąc kwiecień r. b., p. Winkler podał życiorys słynnego w przeszłym wieku awanturnika Maurycego Beniowskiego.

*** W Warszawie poczynione zostały starania celem uzyskania koncesji na nowe pismo poświęcone ekonomji i sprawom bankowym.

Znany z działalności w tym kierunku pracownik stanąć ma na czele nowego pisma.

*** Zeszyt VI-ty „Słownika geograficznego“, od „Brześć do Busk“, wyszedł z pod prasy.

*** Ateneum w zeszycie za miesiąc Czerwiec r. b. zawiera: 1. O co nam chodzi. 2. Szalona, powieść przez J. I. Kraszewskiego. 3. Książę Klemens Metternich i jego pamiętniki, przez Kazimierza Jarochowskiego. 4. Żywot naukowy J. S. Zdzitowieckiego, na tle współczesnych stosunków, przez Bronisława Znatowicza. 5. Bezwiedne tradycje ludzkości, studjum z psychologji historji, przez dr. Juljana Ochorowicza. 6. Karolina Świetla, studjum literackie przez Bronisława Grabowskiego. 7. Podole u schyłku wieku XV., przez A. Jabłonowskiego. 8. Rozbiory i sprawozdania. 9. Kronika naukowa przez S. K. 10. Kronika miesięczna.

*** Kosmos, czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie V. z r. b. zawiera: 1. Wyciąg z protokołów posiedzeń polskiego towarzystwa przyrodników im. Kopernika. 2. Sprawozdanie z badań geologicznych dokonanych pomiędzy Gniłą Lipą a Strypą, podał prof. M. Łomnicki. 3. Krótkie sprawozdanie z uskutecznionych we Lwowie od maja 1879 do końca maja 1880 r. rozbiorów chemicznych towarów, napoi i. t. p., ciał, przez dr. M. D. Wąsowicza. 4. Kronika naukowa, przez R. Zubera i M. D. Wąsowicza. 5. Wiadomości bieżące.

*** Gazeta rolnicza w N. 24 z r. b. zawiera: 1. Od redakcji. 2. Gdzie nasze ja? przez Jana Jeleńskiego. 3. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljan Au. 4. O kaniance, napisał dr. S. Kadelka. 5. Negretty czy Rambonilletу, napisał Aleksander Trylski. 6. Budowa stodół, przez M. Zajączkowskiego. 7. Z dziedziny hygieny wiejskiej, napisał dr. B. Lutostański. 8. Listy z Radomskiego, przez Świeńczyca. 9. Przegląd polityczny. 10. Wiadomości bieżące. 11. Rozmaitości. 12. Bibliografja i krytyka. 13. Kurjer rolniczy. 14. Odcinek zawiera: Listy z Ameryki, przez Sygurda Wiśniowskiego.

## Nauka.

*** Dr. Izydor Kopernicki, docent antropologji na uniwersytecie jagiellońskim, otrzymał od rządu rumuńskiego złoty medal zasługi I. klasy za zasługi naukowe, jakie położył w tym kraju, urządziwszy w Bukareszcie gabinet anatomiczny dla szkoły lekarskiej.

*** Ustanowiona przed 80 laty nagroda Volty w sumie 50.000 franków, przeznaczona przez francuską akademję umiejętności dla wynalazków z dziedziny elektryczności, dotąd tylko cztery razy udzielana, przyznaną została prof Aleksandrowi Graham Bellowi za wynalezienie telefonu.

*** *Zaćmienia słońca całkowite.* Prof. Dawidson z San Erancisco, podaje następujący wykaz najważniejszych zaćmień słońca całkowitych, jakie będą miały miejsce w bieżącem stuleciu:

| data | | miejscowość najlepsza do obserwacji | czas trwania całk. zaćm. | |
|---|---|---|---|---|
| 1882 | 17. maja | Arabja | 2 min. | 0 sek. |
| 1883 | 6. — | Wyspy Markizy | 5 „ | 15 „ |
| 1885 | 9. września | Nowa Zelandja | 2 „ | 0 „ |
| 1886 | 29. sierpnia | Afryka Zachodnia | 6 „ | 21 „ |
| 1887 | 19. — | Rosja | 3 „ | 40 „ |
| 1889 | 22. grudnia | Angola, Afr. zach. | 3 „ | 34 „ |
| 1893 | 16. kwietnia | Brazylia | 4 „ | 44 „ |

Nakoniec 28. maja 1900 roku o godzinie 3 po południu pas całkowitego zaćmienia przejdzie przez Meksyk, wyspy Azorskie i Egipt.

*** *Stacje meteorologiczne w Syberji Wschodniej.* Towarzystwo geograficzne rosyjskie ma otrzymywać od rządu 14.000 rubli rocznej zapomogi na założenie i utrzymywanie stacyj meteorologicznych przy ujściu Leny i na wyspaah Nowej Syberji.

*** *Karta geologiczna Włoch.* Włoski minister rolnictwa i handlu przygotował projekt wypracowania wielkiej karty geologicznej całego państwa, który zamierza przedstawić parlamentowi. Koszt jej obliczony jest na sześć miljonów franków.

## Sztuki piękne.

*** P. Stanisław Barcewicz powrócił z podróży artystycznej do Berlina, Drezna, Pragi i Wiednia do Warszawy.

Joachim, ujęty grą młodego naszego skrzypka, zaprosił go do udziału w berlińskich koncertach symfonicznych na przyszłą zimę.

St. Barcewicz wraz z p. Aleksandrem Michałowskim udaje się niebawem do Buska dla dania tamże koncertu na otwarcie miejscowego teatru.

*** Z Brukselli donoszą, iż stan zdrowia Juljusza Zarębskiego znacznie się poprawił.

Dzielny pianista i profesor wykończył właśnie w tych czasach cztery mazurki (na cztery ręce) i etiudy, oraz menuety.

Wkrótce też wyjdą jego „Tańce“. osnute na melodjach naszych.

*** W Odesie, w trupie p. Sietowa, śpiewają obecnie pp. Teodozja Friderici, Juljan Zakrzewski, Roman Wasilewski i Wierzbicki.

*** Na konkurs dramatyczny miejskiego teatru w Frankfurcie nadesłano 556 sztuk, z których jednak tylko dziesięć przekazanych zostało do ściślejszego ocenienia.

## Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Z krakowskiego „Przeglądu lekarskiego“ dowiadujemy się, iż w Serbji znajdują się i zajmują wyższe posady lekarskie następujący nasi rodacy: dr. Aleksander Bogdanowicz, dr. Roman Dalmajer, dr. Kazimierz Staniszewski.

*** Lipskie Towarzystwo politechniczne postanowiło urządzić wystawę rzemieślniczo-przemysłową; wystawa odbędzie się najpóźniej w r. 1885.

*** Ponure światło na stosunki nowoczesnych społeczeństw rzucają daty statystyki samobójstw za ostatnie lata.

Pastor Hirsch, przełożony ochrony dla nałogowych pijaków w Lintorfie, zadał sobie trudu dostarczenia cyfrowego dowodu na to, że wbrew wszelkim, z wielu stron podnoszonym zaprzeczeniom, liczba wypadków samobójstwa w rzeczy samej zwiększa się nieustannie we wszystkich prawie krajach, u których zebrać się da materjał statystyczny.

Jedynie w Norwegji zmniejszyła się w ostatnich latach liczba samobójstw, mianowicie o 9 procent, co Hirsch przypisuje surowej ustawie przeciw pijaństwu, obowiązującej w tym kraju.

W większej części np. państw niemieckich sprawdzono zwiększenie się liczby wypadków samobójstwa od roku 1850 o 80 do 160 procent.

I tak na milion mieszkańców według przeciętnej z ostatnich lat dziesięciu przypadało w Saksonji samobójców 300, w Danji 280, w Wirtembergu 180, w Meklemburgu 167, w Badenie 156, w Prusiech 133, w Bawarji 103; w Szwecji 81, w Belgji 73, w Norwegji 40.

W Austro-Węgrzech na miljon mieszkańców przypadało 122 samobójców.

## Odkrycia i wynalazki.

*** Cesarz brazylijski, członek paryskiej akademji umiejętności, nadesłał jej telegram z doniesieniem o odkryciu przez siebie nowego komety.

*** *Nowy sposób wydobywania ciężarów z wody.* Pisma niemieckie w ostatnich czasach żywo zajęte były nowym sposobem wydobywania ciężarów z głębi wody. Metoda ta, podana przez p. Raydta, nauczyciela szkoły realnej w Hanowerze, polega na połączeniu ciężaru z balonem napełnionym gazem, który wedle znanych zasad, wraz z sobą podnosi i zawieszony u niego ciężar. Wiadomo dalej, że kwas węglany pod wysokiem ciśnieniem przechodzi w ciecz, ulatniającą się natychmiast po usunięciu nadmiernego ciśnienia. Otóż do napełnienia balonu, używa Raydt takiego gazu skroplonego, zebranego w zbiorniku, umieszczonym pod wodą, który nurek otwiera i zawartą w nim ciecz, wprowadza do balonu. Balon użyty do doświadczeń, prowadzonych w Kiel, zrobiony był z grubego płótna żaglowego, napojonego gumą; otoczonym on był grubą siecią, dźwigającą pierścień, z którego schodzą cztery łańcuchy, łączące się u haka: do haka tego przyczepia się ciężar. Balon miał trzy metry średnicy i w ciągu 8 minut od chwili otwarcia zbiornika kwasu węglanego wydobył z głębokości 32 stóp, głaz ważący przeszło 15.000 kilogramów. W pierwszej chwili po wynurzeniu się z wody, balon wysunął się do połowy, następnie zanurzył się znowu i zakołysawszy się kilkakrotnie w ten sposób, pozostał nakoniec w spoczynku wynurzony nad wodą na metr wysoko. Bliższe szczegóły tej metody nie są znane, ale doświadczenia prowadzone były w obecności wielu inżynierów, stwierdzających praktyczność metody, która żegludze bardzo przydać się może.

## Podróże.

*** W zeszycie 8 za miesiąc maj wydawanego we Wiedniu „Rundschau für Geographie und Statistik“ mieści się życiorys słynnego podróżnika pułkownika Mikołaja Przewalskiego, wraz z jego wizerunkiem.

Z wspomnionego artykułu, skreślonego piórem naszego spółrodaka Albina Kohna, dowiadujemy się, że rodzina Przewalskich w XVI. czy XVII. wieku przeniosła się z Polski do dzisiejszej guberni smoleńskiej.

Przewalski podróżuje obecnie po Tybecie i według nadesłanego przez siebie telegramu do

Petersburga, ma nadzieję powrócić w sierpniu wraz z obficie nagromadzonemi naukowemi zbiorami.

*** Londyńskie królewskie towarzystwo geograficzne na rocznem swem zebraniu przyznało złoty medal szwedzkiemu porucznikowi marynarki Palanderowi, uczestnikowi wyprawy Nordenskjölda do bieguna północnego; sam Nordenskjöld medal ten posiada od roku 1869 i po raz drugi otrzymać go nie może.

*** „Nowoje Wremia" donosi, iż towarzystwo przyrodników uniwersytetu petersburgskiego otrzymało od rządu zapomogę w sumie 10.000 rs. dla zorganizowania wyprawy do oceanu Lodowatego; wyprawą tą ma kierować prof. Bogdanow.

*** W Peterhead (Szkocja) zbudowano nowy okręt, przeznaczony do podróży do bieguna północnego. Okręt ten nazwany „Eira", zbudowany jest z drzewa dębowego i obity wewnątrz i zewnątrz żelazem. Długość jego wynosi 125 stóp, szerokość 25, a głębokość 12.

### Zjawiska przyrody.

*** Z Brenner w Tyrolu donoszą, iż tam jeszcze w dzień Bożego ciała i następnego poranku panowała jak najpiękniejsza pogoda letnia a po południu tak się oziębiło, że nazajutrz cała okolica pokryta była dosyć grubą warstwą śniegu. Termometr spadł do zera, śnieg sypał bezustannie. Około godziny 3 po południu znów się ociepliło i nadciągnęła burza z grzmotami i piorunami.

*** Dzienniki tureckie donoszą, iż wieś Heleddi, położona w pobliżu mało-azjatyckiego miasta Sinope, podczas trzęsienia ziemi, całkiem zsunęła się do morza. Z sześćdziesięciu domów i meczetu nie pozostało ani śladu. Mieszkańcy mogli się dość wcześnie uratować.

*** *Wodospad Niagary* wedle sprawozdania p. Gummara, naczelnika komisji pomiarowej nowojorskiej, cofnął się od 1842 roku, w którym pierwsze pomiary trygonometryczne zrobiono, o stóp sto przeszło, cofa się więc rocznie prawie o $2^3/_4$ stopy.

## SIŁY WOJENNE CHIN.

Grożące obecnie starcie pomiędzy Rosją a Chinami, które zresztą dyplomacja europejska, jako szkodliwe dla handlu chino-europejskiego wszelkiemi siłami zażegnać się stara — pisze korespondent jednej z gazet — daje powód do uwag nad siłami wojennemi Chin i prawdopodobnemi ich szansami w walce.

Kilka więc szczegółów o tem będzie obecnie na czasie.

Pomimo bezwarunkowego, *par exellence* chińskiego konserwatyzmu niebieskiego państwa, od lat dwudziestu, a mianowicie od wzięcia Pekinu przez Anglików i Francuzów zaprowadzone zostały w wojskowości chińskiej pewne, zresztą bardzo nieznaczne reformy.

Utworzono więc miniaturowe kadry wojsk po europejsku uzbrojonych i europejskim systematem prowadzonych, reszta jednak i bez porównania większa część wojsk chińskich składa się z masy oberwańców dowodzonych przez nieuków - oficerów; dla tego też Chiny niechętnie wszczynają wojnę, dowodem czego np. flegmatyczne zniesienie obrazy, jaką im przed laty kilku zagarnięciem Formozy wyrządziła Japonja.

Trudno oznaczyć ściśle liczebność armji chińskiej, według jednak ostatnich, o ile możności pewnych wiadomości, nie przewyższa ona 600,000 ludzi, z czego tylko 195.000 piechoty i 87.000 jest w kadrach czynnych, reszta zaś pełni służbę garnizonową.

Zapewne jednak i ta cyfra daleką jest od rzeczywistości.

Dzieje się bowiem, że dowódcy oddziałów tylko co trzy lata, podczas ogólnych rewij, posiadają dostateczną liczbę koni i ludzi, na resztę zaś czasu pozwalają im udawać się do domów na zarobki, kładąc, ma się rozumieć, pieniądze na utrzymanie żołnierzy przeznaczone do własnej kieszeni (dzieje się to nietylko w Chinach — choć w innej formie.)

Zresztą na wypadek wojny mają oni łatwy sposób skompletowania kadrów, a mianowicie chwytają każdego pierwszego lepszego spokojnego obywatela kraju i stawiają go pod broń.

Co jednak taki tłum jest wart?

Najlepiej to pokazała wyprawa na Formozę, podczas której w drodze do brzegów morza zdezerterowała większa połowa oddziału.

Lecz przypuśćmy nawet, że cyfry zapisane w kontrolach są prawdziwe — i wtenczas nawet widzimy, że Chiny w danym razie mogą wystawić zaledwo do 300.000 wojska; jak na kraj, obejmujący około 200.000 mil kwadr. przestrzeni, który liczy 350 miljonów ludności — to trochę mało.

Dodać do tego trzeba, że państwo niebieskie nie posiada ani kolei żelaznych ani dróg szosowych — mobilizacja więc wojsk i skoncentrowanie ich w pewnem oznaczonem miejscu dla celów strategicznych przedstawiać dlań będzie ważne trudności.

Zaczątkiem i pierwszą chronologicznie stalszą siłą wojskową Chin było 8 utworzonych jeszcze w początku 17 wieku mandżuryjskich oddziałów czyli „chorągwi", dalej idzie 8 chorągwi tatarskich i wreście 8 chińskich; te 24 chorągwie są uważane za pierwszą armię chińską i wraz z garnizonem pekińskim stanowią podporę tronu Bogdychana.

Dawniej armia ta odznaczała się wojowniczością, lecz dziś zupełnie się zmieniła; nadzwyczaj skąpa pensyjka nie pozwala żołnierzom oddawać się wyłącznie ich zajęciu, lecz muszą oni brać ciągle urlopy — i prywatnie zarobkować na życie.

Bardzo nieznaczna tylko część owej armji jest uzbrojona i wyćwiczona po europejsku, reszta zaś, jak za dobrych czasów, włóczy za sobą ciężkie zardzewiałe szable, strzela z łuków i manewruje wielkiemi włóczniami.

Liczebność tej armji — na papierze — sięga ledwo 100.000 ludzi.

Drugim elementem wojskowym Chin jest coś w rodzaju gwardji, utworzone za panowania cesarza Jurgczyng (1723—1763); w obowiązkach tego „czegoś" leży trzymanie straży przy władcy złotego smoka.

Gwardja cesarska, złożona z 30 do 50 tysięcy ludzi i zaopatrzona w broń palną (*nb.* ze skałkami lub przynajmniej nabijaną z przodu) kwateruje w Pekinie i okolicy i jest jedyną siłą zbrojną, na którą liczyć może bezwarunkowo (o chorągwiach i wojskach ziemskich mówić nie można — nie przedstawiają one żadnej gwarancji!) ministerjum wojny.

Dodać trzeba, że ministerjum to ma charakter wyłącznie biurokratyczny i nie posiada w swem łonie ani jednego wojskowego; najlepszą stroną ministerjum jest stosunkowo nieliczny jego skład, liczy bowiem tylko 497 osób personalu.

Trzecim wreście elementem wojsk chińskich jest armia t. z. Luch ing, to jest armja „Zielonej chorągwi".

Składa się ona z tylu korpusów, ile jest prowincyj, a więc z 18.

Każdy korpus liczy 5 dywizyj, dywizja 5 etapów i etap pewną liczbę strażniczych pozycyj; podział więc jest ściśle terytorjalny.

Wojska znajdują się w czasie pokoju w zawiadywaniu gubernatorów, w czasie wojny zaś są używane stosownie do potrzeby.

Podług spisów, liczą one 651,677 szeregowców i 7.157 oficerów, spisy owe przecież niczego nie dowodzą.

Wojsko to w ogóle, nie mówiąc już o jego liczbie, jest uorganizowane źle, a uzbrojone jeszcze g[illegible]ej; ze wszystkich wojsk prowincjonalnych zaledwo do 50 tysięcy w prowincjach Tiansin, Kanton, Futczeu i Szangha jest uzbrojonych i wyćwiczonych po europejsku.

Kadry oficerskie są do tego jedną z najciemniejszych stron organizacji militarnej państwa niebieskiego.

Zasadą przyjętą względem kwalifikowania oficerów są nie warunki ich umysłowe lub nawet służbowe zdolności, lecz — wzrost i siła fizyczna.

Przy takich okolicznościach trudno mówić o umiejętności taktycznej i strategicznej.

Zresztą są tutaj wyjątki, i rzecz, ma się rozumieć, zależy od osobistości samych gubernatorów.

Naprzykład rozumny i dzielny gubernator Tiansinu, Li-Chung-czang, wyćwiczył znakomicie swą 25-tysięczną armię; prócz tego zwraca on pilną uwagę na fortyfikacje i ostatniemi czasy wybornie obwarował stolicę od strony morza; forty Taku i Reiho, uzbrojone w potężne działa, przedstawiają twardy orzech do zgryzienia dla pragnących je zdobyć.

Zresztą sprawa uzbrojenia armji chińskiej idzie naprzód.

Rząd kilkakrotnie sprowadzał znaczne partje broni palnej, nikło to jednak i topniało w magazynach intendentury (tak jak wszędzie).

Od r. 1875 sami Chińczycy, założywszy w Tiansinie, Nankingu, Kantonie i Szanghaju fabryki broni, usiłują wyrabiać karabiny Remingtona i Spensera bez wielkiego jednak powodzenia.

Na zakończenie kilka słów o chińskiej flocie wojennej.

I w tej sferze, zarówno jak w wojskowości lądowej, przejawia się — decentralizacja, a mianowicie flota nie przedstawia skoncentrowanej całości, lecz znajduje się częściami w zawiadywaniu gubernatorów przybrzeżnych prowincji.

Flotę całą rozdzielić można na trzy grupy, które zresztą trudno nazwać eskadrami.

Pierwsza grupa, t. z. flota kantońska, złożona z 12stu statków, przeważnie zakupionych w Anglji i znajdujących się pod komendą oficerów angielskich i francuskich; jestto kwiat sił morskich niebieskiego państwa.

Druga grupa — to flota fukjańska.

Składają ją statki zbudowane w dokach Futczeu pod kierunkiem inżyniera francuskiego Giquell'a; są to wyborne statki (kosztowały zresztą dość drogo), zaopatrzone w dalekonośne działa, liczą ich przecież bardzo mało (jedna korweta, sześć kanonierek i ośm statków transportowych), a ich załoga, złożona z nieumiejętnych krajowców, stoi niżej wszelkiej krytyki.

Jedynie tylko korweta, dowodzona przez angielskiego kapitana de Tracy, może być groźna.

Trzecią grupę stanowi flota szanghajska, w komplecie 2 fregat, 9 kanonierek i kilku statków transportowych, uzbrojona i uekwipowana — jak i poprzednia.

Wszystko to jednak nie przedstawia jeszcze floty w europejskiem słowa tego znaczeniu — tem bardziej, jeśli zważymy, jak wielkim jest obszar granic morskich państwa złotego smoka.

W ogóle Chiny — o ile z wszystkiego wypowiedzianego wyżej sądzić można — nie są wcale groźne dla swych nieprzyjaciół, owszem brak im jakichkolwiek poważniejszych sił, któreby się mogły z europejskiemi mierzyć wojskami.

Od kilku lub kilkunastu lat zaczynają one wchodzić na drogę postępu, lecz posuwanie się ich dotąd jest — żółwiowe.

Dla zupełniejszego scharakteryzowania sytuacji politycznej w Chinach dodamy, że tron wielkiego mongoła stoi na wulkanie — grozi mu w chwili obecnej, jak zapewniają świadome gazety, przewrót...

**Treść Nr. 25.** str.



Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.